Cena 20 zł.

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok VI | Warszawa, 1 — 8 października 1950 r. | Nr 39 — 40 (253 — 254

Bolesław PIASECKI

ZA POKOJEM — JEDNOŚĆ NARODU

Stosunek do sytuacji międzynarodowej wszedł w fazę ostatecznego wyjaśnienia.

Interwencja Stanów Zjednoczonych w Korei, rozmiar zbrojeń USA oraz państw Bloku Atlantyckiego wyjaśnia każdemu zamiary polityki amerykańskiej. Wytyczną tej polityki jest pełna mobilizacja sił własnych, dająca możliwość prób prowokacji wojennych.

Uchwały ministrów Stanów Zjednoczonych, Anglii i Francji w sprawie natychmiastowego uzbrojenia Niemiec Zachodnich posiadają także niedwuznaczną wymowę. Państwa Bloku Atlantyckiego restytuują militaryzm niemiecki, zamierzając posłużyć się duchem odwetu hitlerowskiego w wojnie przeciw Związkowi Radzieckiemu i krajom demokracji ludowej. Z punktu widzenia interesów narodu polskiego oznacza to nie tylko zagrożenie granicy na Odrze i Nysie, ale także zmartwychwstanie sił nienawidzących samej istoty wszystkiego co polskie lub słowiańskie. Prawdziwe interesy narodu niemieckiego znalazły swój wyraz w olbrzymiej zdobyczy politycznej dla przyszłości całej Europy, którą jest układ zgorzelecki o wytyczeniu ustalonej i istniejącej granicy między Polską a Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Akcja rządów Stanów Zjednoczonych i państw Bloku Atlantyckiego wyostrza sytuację polityczną w Polsce: kto jest za pokojem — służy interesom Polski, kto opowiada się za wojną — szkodzi sprawie własnego narodu.

Sprawa hasła „pokój" wymaga jednak zasadniczej analizy.

Nie można idei pokoju pojmować abstrakcyjnie. Przyjmowanie postawy pacyfistycznej, stwierdzanie o deklarowaniu się za pokojem zawsze i w każdej sytuacji jest omijaniem zagadnienia. Bronić pokoju trzeba przeciwko tym, którzy agresję szykują, bronić pokoju trzeba nie „zawsze", ale konkretnie w 1950 roku. Otóż współczesny nakaz narodowej racji stanu każe nam bronić pokoju przeciw interwencjonistom z rządu Stanów Zjednoczonych, dającym broń hitlerowcom z Niemiec Zachodnich.

Doniosłości akcji pokojowej nie można pojmować powierzchownie. Skuteczność jej działania nie polega jedynie na tym, że głos setek milionów ludzi, głos potępiający wojnę, musi hamować agresywne zamiary. Waga akcji pokojowej wyraża się w równej mierze w fakcie, że organizuje ona psychicznie biorących w niej udział ludzi. Działalność dywersyjna, sabotażowa, konspiracyjna, będąca zbrodnią przeciw interesom narodowym, działalność kierowana przez przygotowujące wojnę wywiady anglosaskie, jest ideologicznie podcinana przez akcję w obronie pokoju. Psychoza wojenna, histeria plotek, powodująca nerwowość w pracy, znajduje swoje antidotum w masowej i manifestującej się woli utrzymania pokoju. Walka o pokój na świecie jest jednocześnie organizowaniem bezpieczeństwa obywatela w kraju i spokoju potrzebnego do pracy.

Trzeba wreszcie umieć odpowiedzieć na pozornie niewinne pytanie — o jaki pokój chodzi? Pytanie to jest często zadawane w celu rozładowania postawy obrony pokoju. Wśród wysuwających ten problem należy rozróżnić dwie grupy ludzi. Jedni, zadając takie pytanie, podkreślają, że myślą o pokoju, który by przywrócił im posiadany przed wojną stan majątkowy i zajmowaną uprzywilejowaną pozycję społeczną. Nad tą grupą ludzi trzeba przejść do porządku dziennego, ponieważ jej punkt widzenia jest egoistycznie ciasny i przez to antynarodowy. Istnieje jednak i drugi sposób postawienia problemu, sposób specjalnie aktualny dla społeczeństwa katolickiego. Wyraża on się w zapytaniu: czy chodzi o pokój, w którym ideologiczna długofalowa ofensywa marksistowska zwęzić może wpływy katolicyzmu. Tak sformułowane zagadnienie musi znaleźć bezwzględną odpowiedź. Intencja rozwiązania trudności ideologicznych współżycia katolików i marksistów przy pomocy amerykańskiej bomby atomowej jest moralnie i narodowo samobójcza. Moralnie, ponieważ zdradza same założenia katolicyzmu i ma charakter kapitulancki, narodowo — ponieważ w sposób przewrotny usiłuje przeciwstawić rzekome potrzeby światowe katolicyzmu nakazom współczesnej polskiej racji stanu.

Miejsce katolików polskich jest tam, gdzie są żywotne potrzeby narodu polskiego. Bezkompromisowa służba potrzebom narodu polskiego jest terenem ugruntowania odrębnej pozycji światopoglądowej katolików w państwie naszym, państwie dążącym do socjalizmu. Włączenie się katolików w światowy ruch obrony pokoju idzie po linii interesów narodowych i przez to buduje właściwą perspektywę dla ich współżycia z marksistami.

Od szeregu miesięcy organizuje się w Polsce i narasta masowy front w obronie pokoju. Jesteśmy za najpełniejszym udziałem całej społeczności katolickiej w aktywności tego frontu. Jesteśmy za udziałem przedstawicieli Hierarchii, duchowieństwa i katolików świeckich. Jesteśmy za udziałem najbardziej merytorycznym, a nie tylko deklaratywnym. Uważamy, że wśród aktywistów Komitetów Obrońców Pokoju powinno być coraz więcej katolików. Wskazywaliśmy dotychczas na nakazy wynikające z narodowej racji stanu. Chcemy obecnie zatrzymać się na motywach odnoszących się specjalnie do społeczności katolickiej.

Wszechstronny udział katolików polskich w obozie pokoju oznacza w skali międzynarodowej i wewnętrznej przyczynienie się do zerwania więzów katolicyzmu ze światem kapitalistycznym i burżuazyjnym. Jesteśmy przekonani, że nadrzędna według światopoglądu katolickiego misja Kościoła dla swej skuteczności we współczesnym świecie wymaga jak najbardziej publicznej manifestacji rozbratu z kapitalizmem i burżuazją. Obrona pokoju jest pierwszorzędnej wagi historyczną okazją takiej manifestacji. Marksiści przejawiając często nieufność do polityczno-społecznej postawy katolicyzmu, operują faktami wiązania się przedstawicieli Kościoła z polityką ośrodków kapitalistycznych. Na fakty najlepszym argumentem jest czyn. Braterstwo w walce o pokój Polaków wierzących i niewierzących w ogólno-narodowym froncie wzmacnia pozycję religii katolickiej w obozie rewolucji. Jesteśmy krajem, który dokonał w tym właśnie 1950 roku pionierskiego aktu regulującego dwustronnie współżycie Kościoła i Państwa w epoce dążenia do socjalizmu. Bezpośrednio po porozumieniu pisaliśmy, że porozumienie jest nie tylko osiągnięciem, ale i zadaniem. Realizacja świeckiej części porozumienia wymaga od katolików konsekwentnej i bezpośredniej aktywności w obronie pokoju. Realistyczna polityka rządu polskiego niewątpliwie fakt ten uwzględni przy wykonywaniu zadań, jakie porozumienie jej nakreśla.

Sprawa pokoju nie znosi neutralności, nie znosi braku wyraźnych poglądów. Ofiary i straty poniesione przez naród polski w drugiej wojnie światowej dały przerażającą lekcję, jaka jest cena braku odpowiedzialności ideowo-politycznego myślenia. Jeśli jednostka czy środowisko nie rozumie nakazu walki o pokój jako bezpośredniego zadania ogólnonarodowego znaczy to, że nie dokonała rewizji własnej przeszłości, nie wyrzekła się własnych błędów, które już raz Polsce przyniosły szkody. Masowa akcja w obronie pokoju w Polsce ułatwia opóźnionym wyzbycie się wszelkiej neutralności czy połowiczności. Jest zadaniem nas wszystkich nadać najbardziej aktywną i najbardziej pełną treść prostemu sformułowaniu: za pokojem — jedność narodu.

Bolesław Piasecki

Krystyna KONARSKA-ŁOSIOWA

Dalekie, nowe drogi...

Twoje ścieżki Jolanto, będą inne,
Brygady młodzieżowe zrobią ci piękne szosy,
W każdej wsi będzie szkoła, a w miastach domów dosyć,
By każdy miał stół do pracy, lampę i wazon z kwiatami.

Gdy czasem miniesz gruzy, dekoracje dawnego dramatu,
Wzdrygniesz się może, pomyślisz, to było — i nigdy więcej!
Nasze ręce nie chcą zabijać — budować chcą nasze ręce
I ściskać chcą bratnie dłonie idących z nami w szeregu.

Nas nie urzeka półmrok wygody i sytości,
Nas inna myśl porywa — w pustynie przelać rzeki,
Rozewrzeć pasma górskie — to jest nasz hymn zwycięski,
By nikt nie musiał życiem płacić za chleb dla dzieci.

Biec chcemy — żeby tamci doszli już równym krokiem.
Pracować jak olbrzymy — by życie było lżejsze.
Jolanto, na twe drogi wybiegam tylko wierszem,
Dalekie, nowe drogi, co przykuwają oczy . . .

Wojciech WIECZOREK

NADZIEJA CHIŃSKIEGO NARODU

Zeszłoroczna, zwycięska ofensywa Armii Ludowej w Chinach zwróciła oczy opinii publicznej na wypadki odbywające się w „Państwie Środka". Mniej znamy natomiast przebieg procesów przeobrażających gruntownie dotychczasową strukturę społeczno-polityczną Chin. Co prawda prasa i radio w dużej mierze zaznajomiły społeczeństwo polskie z nową rzeczywistością chińską. Siła rzeczy były to jednak informacje cząstkowe, oddające jedynie fragmenty wielkiego przewrotu społecznego na Dalekim Wschodzie, jakim jest niewątpliwie rewolucja chińska. Aby zorientować się należycie w całokształcie zachodzących tam przemian, należy sięgnąć do większych opracowań. Z dostępnych czytelnikowi polskiemu publikacji jedna z najciekawszych pozycji jest książka postępowego dziennikarza amerykańskiego I. Epsteina.*) Epstein przebywając dłuższy czas w Chinach miał sposobność gruntownego zaznajomienia się z ich historią, kulturą i aktualnymi problemami społeczno-politycznymi. W oparciu o bogaty materiał faktów dał trzeźwą ocenę krytyczną zaszłych wypadków.

Zadaniem niniejszego artykułu nie jest bynajmniej spóźniona recenzja z książki Epsteina, z którą powinni się zapoznać nie tylko specjaliści od spraw Dalekiego Wschodu, ale wszyscy interesujący się problematyką społeczną naszych czasów. Chodzi mi jedynie o uwypuklenie szeregu mało znanych faktów obrazujących specyficzne znamiona rewolucji w Chinach.

Zapoczątkowana w pierwszej połowie XIX stulecia ekspansja europejska w Chinach miała różne oblicza. Przede wszystkim była to zachłanna penetracja międzynarodowego kapitału, poparta lufami dział okrętowych. Ale razem z bussinesmanami wtargnęły do Chin idee europejskie; znalazły się też, aczkolwiek stosunkowo nieliczne, jednostki spośród misjonarzy i świeckich, które brały na serio misję zmodernizowania Chin, przy zachowaniu ich rodzimej kultury. Epstein pisze, że owej ekspansji ideologicznej ówcześnie władająca Chinami dynastia mandżurska obawiała się więcej niż armat. Podkopywała bowiem zacofane stosunki społeczne, z których Mandżurowie ciągnęli niezgorszy profit. Toteż niektóre liberalne potencje Zachodu zabezpieczające sobie gorliwie koncesje w obfitym w bogactwa naturalne „Państwie Środka", były skłonne — odkładając na bok swój liberalizm — udzielić w gorących momentach poparcia raczej nastrojonej „antycudzoziemsko" chińskiej konserwie aniżeli ruchom, które choćby w pewnej mierze usiłowały uzdrowić stosunki społeczne w Chinach w duchu Zachodu. Jaskrawym tego przykładem było zachowanie się Europejczyków w czasie powstania Taipingu.

Powstanie Taipingu wybuchło w 1850 r. i trwało 15 lat, obejmując swym zasięgiem najżyźniejsze prowincje Chin. Ostrzem swym skierowane było przeciw władzy dynastii i obszarników. W stosunku do europejczyków powstańcy zachowywali całkowitą neutralność (być może dlatego, że skutki panowania kapitału rujnującego narodową gospodarkę chińską nie były jeszcze widoczne w całej okazałości) żądając od nich jedynie podobnej postawy (nie zgodzono się m. in. na propozycję Londynu, pragnącego wystąpić w charakterze „uczciwego mediatora"). Oryginalne były hasła Taipingu — żywiołowego buntu socjalnego ubogich wieśniaków. Mało się wie, że zespoliły się w nich antyfeudalne dążenia do sprawiedliwości i równości z tekstami Nowego Testamentu głoszącymi „sprawiedliwość ubogich". Te chrześcijańskie akcenty w hasłach Taipingu mają za źródło osobę przywódcy powstania i jego ideologa Hung-Hsiu-Chuana. Był on ubogim i niewykształconym chłopem, doznającym podobno wizji mistycznych. Po zetknięciu się z misjonarzem protestanckim I. Robertsem przyjął chrześcijaństwo. W wersetach ewangelicznych znalazł uzasadnienie dla dążeń społecznych nurtujących lud chiński uginający się pod ciężarem feudalnego jarzma. Walka o realizację programu Taipingu stała się nadzieją chłopów, którzy masowo garnęli się do szeregów powstańczych. Gwarantował on im chleb. Partyzantka powstańcza wstrząsnęła

ni z szyn kolejowych. Jak relacjo-

posadami starego porządku rozlewając się po całych Chinach i budząc popłoch pośród obszarników i urzędników cesarskich. Ale zbuntowanym chłopom nie było dane zbudowanie Tai-Ping-Tien-Kuo — „Niebieskiego Królestwa Pokoju na Ziemi". Po raz pierwszy na drodze chłopa chińskiego do wolności stanął biały kolonizator.

Co prawda dyplomata brytyjski w Chinach — Henry Meadows — zdumiony rozmachem powstania w przewidywaniu upadku Mandżurów telegrafował do swego rządu żądając poparcia Taipingu. Co prawda opinia publiczna Zachodu pod wpływem korespondencji z Chin, wychodzących spod pióra życzliwie do powstania usposobionych obserwatorów, widziała w wypadkach chińskich zapowiedź doniosłych przemian społecznych, co przyjmowała z uznaniem. Ale przychylnej opinii o Taipingu nie podzielali ludzie interesu. Dla imperialistycznych rządów zwycięstwo Taipingu oznaczało niebezpieczeństwo wewnętrznego wzmocnienia się Chin, a tym samym groźbę zahamowania kolonialnej penetracji. Ludzie zbijający w Chinach bajeczne fortuny kosztem ubogich tubylców poczuli się zagrożeni w swym stanie posiadania. To wystarczyło do powzięcia decyzji stawiających białych w niezbyt pochlebnym świetle. Początkowo zaopatrywano tylko wojska Mandżurów w europejską broń, potem żołnierzom angielskim zaczęto udzielać zezwolenia na służbę w armii cesarskiej, wreszcie doszło do bezpośrednich starć między powstańcami a Anglikami i Amerykanami. Jak widzimy metody obcej interwencji w Chinach z r. 1860 nie różnią się wiele od metod stosowanych i później. Stare wzory nie straciły na wartości.

W potyczce koło Szanghaju humanitarni Anglicy „godnie" bronili honoru Europejczyka. W potyczce tej raniony został angielski admirał Hope. Sympatyk Taipingu — August Lindley — pisze z oburzeniem, że „aby pomścić obelgę i ukarać zuchwałych buntowników, którzy odważyli się trafić kulą w łydkę brytyjskiego admirała robiącego wszystko by ich wystrzelać, sprowadzili alianci artylerię, zabijając około 300 ludzi i paląc wielkie ilości zboża". Jakież były motywy takiego postępowania u, bądź co bądź, cywilizowanych ludzi? Wyjaśnia to oświadczenie ówczesnego premiera brytyjskiego Palmerstona, złożone poirytowanym tonem w odpowiedzi na interpelacje członków parlamentu: „Wtrąciliśmy się teraz w sprawy chińskie. Dlaczego? Ponieważ nasze prawa zagwarantowane układem znalazły się w niebezpieczeństwie i nasze interesy w Chinach narażone są na szwank". Sprawa jasna. Kropka. O tym, że owe „prawa zagwarantowane układem" osiągnięto przy jakże wymownej obecności pancerników na wodach chińskich pan premier nie wspomniał.

Powstańcy Taipingu byli prekursorami nowoczesnego ruchu rewolucyjnego w Chinach. W kilkadziesiąt lat później Sun-Yat-Sen podejmuje i rozwija ich dorobek. Taiping był natchnieniem „ojca rewolucji". Doczekał się on upadku Mandżurów, ale także zapoznał się z siłą kontrrewolucji podsycaną dyplomatycznymi gierkami mocarstw i ciasnymi ambicjami generałów chińskich. Dlatego w swym testamencie politycznym umieścił słowa: „Rewolucja w Chinach trwa. Nasi towarzysze muszą walczyć dalej". Słuszność tego sformułowania potwierdziła historia. Od śmierci Sun-Yat-Sena Chiny są teatrem niekończących się wojen i walk wewnętrznych, podczas których dojrzewał i potężniał obóz postępu. Zmieniały się i dojrzewały programy rewolucyjne. Następca Taipingu, Kuomintang opanowany przez klikę ambitnych kacyków z Czang-Kai-Szekiem na czele zdradził sprawę rewolucji, którą podjęła założona w 1920 r. partia komunistyczna walcząc dalej o ekonomiczną i społeczną emancypację mas chłopów chińskich stanowiących trzon społeczeństwa.

Rozpatrując politykę komunistów na tzw. Ziemiach Wyzwolonych odciętych od wszelkich dostaw blokadą japońską i Kuomintangu, należy uwzględnić dwa jej oblicza: społecz-

li projekty Stillwela, zarzucając mu

ne i gospodarcze. Wojska komunistyczne zdobywając nowe tereny dokonywały tam swego rodzaju „małej rewolucji". Partia prowadziła politykę skupiania wokół siebie wszystkich sił antyjapońskich. Przeprowadzano jedynie reformy konieczne do naprawienia rażących przejawów krzywdy społecznej i podniesienia zdolności produkcyjnej danego terenu. W tym celu ogłaszano na publicznych wiecach nowe prawa jak np. prawo o wolności stowarzyszeń, prawo zmniejszonego czynszu dzierżawnego czy prawo lepszej płacy. Czynsz dzierżawny regulowany dotychczas przez zmienny humor miejscowego obszarnika i ciążący kamieniem młyńskim u szyi znacznego odsetka chłopów chińskich, zaczęła wreszcie regulować umowa zbiorowa. Zniesiono wszystkie podatki, pozostawiając jedynie daninę zbożową dla potrzeb armii. Dzięki stosowaniu progresywnej skali podatku, ubożsi chłopi byli od niej całkowicie zwalniani. Rzecz w Chinach niecodzienna — oto chłop po opłaceniu wszystkich świadczeń ma jeszcze sporo zboża w swym spichrzu.

Przeprowadzono także doniosłe zmiany mające na celu oddanie władzy w ręce ludu. Drogą głosowania powszechnego poszczególne wsie, okręgi, rejony i obwody wyłaniały samorządne władze cywilne, odpowiedzialne przed swymi wyborcami i rządem w Yenanie. Zazwyczaj w poszczególnych komitetach większość stanowili bezpartyjni. Reprezentowane tam były proporcjonalnie wszystkie klasy społeczne od kulisów i biednych chłopów począwszy, a skończywszy na przedstawicielach obszarników. Ci ostatni stanowili oczywiście nieznaczną mniejszość. I znów mamy wypadek bez precedensu w zapadłych prowincjach chińskich. Urzędnik z pasożyta staje się wykonawcą woli olbrzymiej większości.

Nie tu miejsce rozwodzić się nad polityką gospodarczą Yenanu, dzięki której Ziemie Wyzwolone mimo blokady i bezpośredniego niebezpieczeństwa ataków japońskich dźwignęły się z ruin i zacofania. Wspomnieć tylko warto o niektórych metodach walki o podniesienie produkcji, bez czego Ziemie Wyzwolone skazane by były na niechybną zagładę. Wydano np. nakaz powszechnej uprawy ziemi i wyrobu odzieży. Każdy obywatel Ziem Wyzwolonych powinien się sam wyżywić i odziać. Od tego obowiązku nie zwalniało piastowanie żadnej godności — jedynie zły stan zdrowia. Tak więc Mao-Tse-Tung — przewodniczący rządu, a zarazem namiętny palacz, uprawiał w wolnych godzinach tytoń dla Komitetu Centralnego, zaś głównodowodzący Ósmej Armii generał Czu-Teh rozpowszechniał nieznaną w Chinach sałatę, której spożywanie gorąco zalecał. W walce o podniesienie produkcji dużą rolę odegrała pomoc wojska. Żołnierze wypożyczali chłopom siłę pociągową (konie), pomagali przy pracy w polu. Poszczególne oddziały zwolnione z terenów walk dostawały specjalne „zadania bojowe" polegające na zagospodarowywaniu nieużytków. M. in. w opuszczonej dolinie Nanniwan żołnierze i oficerowie założyli pierwszą spółdzielnię pracy, które rozpowszechniły się potem pośród biednych chłopów jako „grupy wymiany pracy". Grupy wymiany pracy zmieniły wygląd rozległych ugorów, będąc zarazem pionierską formą nowego ustroju rolnego.

Poważną troską było uruchomienie przemysłu. Przypominamy, że Ziemie Wyzwolone odcięte były od wszelkich dostaw z zewnątrz. Brakowało więc surowców i maszyn. Nieliczni fachowcy, znajdujący się na Ziemiach Wyzwolonych dokonywali cudów wynalazczości, by uruchamiać nowe gałęzie produkcji. W tej części Chin powtórzyła się rewolucja przemysłowa z przełomu XVIII i XIX w. Surowca zaś dostarczała przede wszystkim wojna. Narzędzia rolnicze i broń wyrabiano np. z szyn kolejowych, których „szaber" tuż pod nosem Japończyków stał się sportem narodowym.

We wspomnianym już Nanniwan żołnierze, odjeżdżając z powrotem do walki obdarowali okolicznych chłopów, którzy pożyczyli im narzędzi rolniczych w pierwszym okresie prac, nowymi narzędziami, wyprodukowanymi w warsztatach spółdziel-

nuje Epstein — „starzy chłopi płakali ze wzruszenia". Znów wydarzenie na stosunki chińskie niezwykłe! Żołnierze nie rekwirują chłopom plonów, ale im pomagają i wspól pracują z nimi.

Wojska komunistyczne bowiem były mocno zrośnięte z ludem, z niego wyrastały. Na Ziemiach Wyzwolonych prawie cała ludność męska chodziła uzbrojona. Nieliczni korespondenci amerykańscy na tych terenach napotykali wszędzie życzliwych, uśmiechniętych ludzi z granatami „domowego wyrobu" za pasem. Ogniwem pośrednim pomiędzy armią a ludnością była milicja rekrutująca się z miejscowych chłopów w każdej wsi. Jej zadania polegały głównie na ochronie prac rolnych i zbiorów. Z biegiem czasu wioski chińskie stały się fortecami niedostępnymi dla drobniejszych oddziałów japońskich. W wypadku większej „akcji policyjnej" skomplikowany system alarmowy i ewakuacyjny zamieniał wieś na obóz wędrowny, unoszący ze sobą zbiory i narzędzia rolnicze. Podobnie zabezpieczano obiekty przemysłowe. Japończycy byli bezradni. Ich akcje nie doprowadzały do spodziewanych rezultatów. Krwawa akcja „wszystkich trzech", polegająca na „paleniu wszystkiego, zabijaniu wszystkiego i rabowaniu wszystkiego" wzmocniła jeszcze antyjapońską postawę chłopa, który przekonał się, że jedynym sposobem utrzymania swego życia i dobytku jest zbrojny opór. W tych niedobrych dniach, kiedy całe grupy wiosek puszczano z dymem z iście szatańską pedanterią, nie opuścił wieśniaków chińskich budujących nowe życie, dobry humor. Kiedy jakaś wieś ocalała, pokpiwano sobie, że widocznie nie było jej na mapie japońskiego oficera. Najeźdźcy japońscy dysponujący precyzyjną maszyną wojenną, pogromcy regularnej armii chińskiej, opromienieni chwałą świeżych sukcesów pod Pearl Harbour, Hongkongiem i Singapore nie potrafili złamać kręgosłupa chińskiego oporu na swoim zapleczu. Stać się to mogło tylko dlatego, że ich przeciwnicy nie byli armią we właściwym tego słowa rozumieniu, ale uzbrojonym ludem całych rejonów, zorganizowanym do walki z najeźdźcą. Można go było pobić raz i drugi, ale nigdy zniweczyć. Oto jakże prosta tajemnica sukcesu!

Podczas gdy na Ziemiach Wyzwolonych walczono, zwiększano produkcję i wytyczano drogi postępu społecznego, w państwie Czungkingu było inaczej. Głodni i chorzy żołnierze masowo dezerterowali z frontu regularnego, który wreszcie stał się niezdolnym do jakiejkolwiek akcji zaczepnej, a jego obronność okazała się fikcją, o czym przekonano się w czasie ofensywy japońskiej w Honanie w 1944 r. Na zapleczu szaleli paskarze i spekulanci zbijający na amerykańskich dostawach niezłe interesy, krzewiła się korupcja wśród wysokich urzędników państwowych, w przemyśle panował zastój spowodowany nieodpowiedzialną polityką fiskalną. Konsekwencje nieudolnej i sprzedajnej polityki Kuomintangu, w łonie którego porastała w piórka proosiowa opozycja, ponosił oczywiście chiński chłop bity ze wszystkich możliwych stron. Tyle donosili zagraniczni obserwatorzy, dalecy od sympatii dla komunistów. Charakterystyczny jest przypadek generała Stillwela, będącego przez pewien czas głównodowodzącym sił sprzymierzonych w Chinach Czungkingu. Stillwel trzymając się z dala od polityki, usiłował podnieść wartość bojową frontu chińskiego. W Mandżurii stała w gotowości bojowej potężna japońska Armia Kwantuńska nierozgromiona jeszcze wtedy przez Związek Radziecki. Chiny przewidziane były jako teren generalnej kontrofensywy sprzymierzonych. Kontrofensywa ta pozostała legendą. Nie zgodzono się na propozycje Stillwela przerwania blokady Yenanu i współpracy wojskowej z komunistami, którzy zawsze deklarowali gotowość przystąpienia do niej, we własnym zresztą interesie, dyktowanym koniecznością odciążenia frontu na zapleczu japońskim. Czang-Kai-Szek i jego amerykańscy poplecznicy w rodzaju Patricka Hurleya, wysłannika prez. Roosevelta w Chinach, a zarazem wysłannika królów nafty amerykańskiej, udaremni-

prosowieckie i prokomunistyczne sympatie. Ostatecznie generał Stillwel podał się do dymisji, a sprawa kontrofensywy utknęła na martwym punkcie.

A lud chiński na terenach Kuomintangu? Przygnieciony nędzą i terrorem policyjnym uprawianym w związku z nagonką antykomunistyczną, łowił uchem skąpe wieści z Yenanu i czekał na Armię Ludową. W czasie katastrofalnej klęski na froncie regularnym w roku 1944, będącej efektem kilkuletnich rządów Czungkingu, żołnierze i ludność cywilna otwarcie oskarżali Czang-Kai-Szeka. „Powtarzano nam bez końca, byśmy popierali wodza, byśmy wierzyli wodzowi. Cóż on robił przez cały czas? Co on dotąd robił ten syn żółwia, kiedy to piwo warzono pod jego nosem?" W słowach tych brzmiała pogróżka. Pośród ludności powstawały fantastyczne plotki. Mówiono: „Czu-Teh przyjechał do Czungkingu pomagać w prowadzeniu wojny. Ósma Armia przyleciała na samolotach amerykańskich i zatrzymała Japończyków". „My pamiętamy Armię Ludową, ale to było dawno" — przypominano sobie — „jej żołnierze byli obdarci jak my, ale umieli się bić. Zabierali bogatym i dawali biednym. To było wojsko lao pai hsing (prostych ludzi) i nikt ich nie mógł pobić". Kiedy Epstein zapytał osobiście generała Czu-Teh, skąd biorą się te pogłoski, ten odpowiedział z uśmiechem: „Skąd? — pochodzą z nadziei narodu".

Wypadki roku 1949 potwierdziły słuszność diagnozy Czu-Teh. Nie pomogła amerykańska broń, nie pomogły posiłki Japończyków, którym po kapitulacji zabroniono poddawać się komunistom. W latach inwazji japońskiej, na Ziemiach Wyzwolonych, naród chiński dowiódł, że chce wolności. Niemałą zasługę w jego przebudzeniu mieli ci wszyscy studenci, oficerowie, członkowie partii, urzędnicy, którzy ze zdartymi do krwi rękoma przy pracy w polu, uczyli masy ludowe, w jaki sposób można się stać kowalem własnego losu.

Wojciech Wieczorek

*) I. Epstein — „Rewolucja w Chinach trwa" — Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1949.

Wojciech KĘTRZYNSKI

POWIEŚĆ KATOLICKA — PROBLEM AKTUALNY

ZAGADNIENIE: czym jest powieść katolicka od dłuższego czasu nie schodzi ze szpalt poważniejszych katolickich czasopism. Trzeba jednak również stwierdzić, że problem ten interesuje również krytykę marksistowską jakkolwiek, rzecz oczywista, inny jest stopień nasilenia i inne jest podejście obu tych kierunków do wspólnego tematu. Jeśli, jak dotąd, w znacznej większości wypadków, krytyka katolicka zajmowała się samą definicją zjawiska literackiego określonego mianem „powieść katolicka", to krytyka marksistowska brała na swój warsztat poszczególne katolickie pozycje wydawnicze i oceniała ich wartość przy pomocy własnych kryteriów.

Krytyka ta przeważnie wypadała negatywnie. Dzieła literatury katolickiej w ocenie marksistowskiej krytyki przedstawiane są zazwyczaj jako wyraz orientacji społecznie reakcyjnej. Dowodzi ona, że owa reakcyjność wynika konsekwentnie i logicznie z postawy światopoglądowej reprezentowanej przez katolickich autorów.

Przemawiając w Warszawie na Konferencji Świeckich Działaczy i Pisarzy Katolickich w maju br. poruszył Wojciech Żukrowski istotne zagadnienie nieporozumień wynikających na tle marksistowskiej oceny katolickiej literatury. Nazwał on to odkrywaniem „skazy katolickiej" przez krytyków marksistów w katolickiej powieści.

Zagadnienie wydaje się nam znacznie szersze i wykraczające znacznie poza metodologiczny spór dwóch różnych orientacji krytyczno - literackich. Czy w powieści katolickiej istnieją merytoryczne „skazy", skąd się one wywodzą i jakie są ich skutki to problemy dużej wagi które wymagają dogłębnych i szczegółowych analiz. Artykuł poniższy pragnie przyczynić się do naświetlenia niektórych aspektów tej szerokiej problematyki, czekającej na analizę kompetentnych krytyków.

Literatura katolicka posiada obok swej treści światopoglądowej, swą doraźną, bieżącą wymowę społeczną. Jeśli w wewnętrznych dyskusjach krytyka katolicka może zajmować się w pierwszym rzędzie stroną światopoglądową tej twórczości, to konfrontacja stanowisk katolickich i marksistowskich odbywać się powinna na gruncie aktualnej problematyki społeczno - politycznej.

W swoim przemówieniu odwoływał się Żukrowski do argumentów użyteczności katolickiego piśmiennictwa. Z punktu widzenia katolickiego nie jest to, rzecz prosta, argument najistotniejszy. Katolicka twórczość literacka jest na swoim odcinku tak samo ważnym czynnikiem apostolatu jak kaznodziejstwo czy katechetyzm. Apostolat zaś jest niemniej ważką i składową częścią aktywności katolickiej niż czynności liturgiczne czy chrześcijańskie miłosierdzie. Wyrzec się apostolatu, to tak, jakby zdradzić katolicyzm.

Niemniej jednak rację miał w danym wypadku Żukrowski, wysuwając na pierwsze miejsce argumenty praktyczne. Udział bowiem piśmiennictwa katolickiego w całokształcie obecnej twórczości literackiej uzależniony jest nie tylko od naszego poczucia obowiązku w stosunku do katolicyzmu, ale też od oceny wpływu tej twórczości na budowanie podstaw kultury socjalistycznej. Otóż można stwierdzić, że głos pisarza katolickiego, literata czy publicysty, jest w chwili obecnej potrzebny gdyż istnieje realna konieczność, by w sprawach aktualnych wspólnych wszystkim Polakom przemawiał do katolików ich własnym językiem, ich własną argumentacją. Ten głos był potrzebny, gdy utwierdzało się w społeczeństwie naszym poczucie polskości Ziem Zachodnich, był potrzebny, gdy nawoływało się środowiska zagubione w latach wojny do zlikwidowania podziemia, do przeciwstawienia się obcym i wrogim dywersjom, jest potrzebny dziś w obronie pokoju, w walce z szantażem atomowym, we wspólnym wysiłku w realizowaniu fundamentów psychicznych planu sześcioletniego. W codziennych więc, doraźnych akcjach autorytet i argumentacja pisarza katolickiego, mimo odmienności światopoglądowych, znajduje pole do pozytywnego działania. Gdy jednak przeniesiemy tę samą akcję, zgodnie z ambicjami katolików, na szerszą płaszczyznę twórczości wysokogatunkowej, napotykamy się na przeświadczenie, iż jej odmienność światopoglądowa działa na szkodę sprawy socjalizmu. Napotykamy się ze strony marksistowskich krytyków, na zarzut zasadniczy, iż rozbieżności światopoglądowe wyrażone w literaturze katolickiej sprowadzają się do propagowania fałszywej wizji rzeczywistości społecznej, umacniania postawy reakcyjnej i zacofanej, do bronienia jednym słowem pozycji kapitalistycznych i burżuazyjnych.

Zagadnienia odmienności wizji światopoglądowych nie da się w żadnym razie ominąć. Próba napisania dziś powieści odbarwionej od wszelkich momentów światopoglądowych byłaby odrzucona przez obie zainteresowane strony. Dzieło takie byłoby tak czy inaczej fałszywe ideologicznie i nie spełniałoby pod żadnym względem zadań wychowawczych. Odmienność światopoglądów, odmienność wizji rzeczywistości, oto niewątpliwa i nieusuwalna „differentia specifica" powieści katolickiej i powieści marksistowskiej. Pisarz katolicki może napisać dzieło dobre lub złe, z punktu widzenia założeń światopoglądowych, formalnych walorów artystycznych, aktualnego znaczenia społeczno-politycznego — jedno jest pewne — nie napisze dobrej powieści z punktu widzenia kryteriów ideologii marksistowskich. Pozostaje jednak do przedyskutowania zagadnienie czy istnieją aktualne i praktyczne racje i korzyści, w wyniku których należało by uznać możliwość pozytywnego wkładu piśmiennictwa katolickiego w dzieło budowania w naszych konkretnych warunkach zrębów ustroju i kultury socjalistycznej.

PROBLEM UŻYTECZNOŚCI POWIEŚCI KATOLICKIEJ

Marksizm wyznaje najdalej posunięty realizm w ocenie sił i środków potrzebnych do budowania socjalizmu na poszczególnych jego etapach. Stwierdzając swe negatywne nastawienie do wszelkich religii, które są, zdaniem marksistów, nieporozumieniem, czy mistyfikacją poniżającą ich ideał człowieka, marksizm jednak liczy się z faktem istnienia odrębności religijnych i z konieczności traktowania ich na innej stopie niż całokształt zjawisk związanych z polityczną reakcyjnością. Postawa „wyciągniętej ręki" wielokrotnie katolikom przypominana przez komunistów dowodzi, iż potrafią oni odróżnić katolika od burżuja. Aktami formalnymi takimi, jak Dekret o Wolności Sumienia, czy Akt Porozumienia Rządu i Episkopatu stwierdzono prawo i użyteczność istnienia odrębności światopoglądowych w społeczeństwach budujących socjalizm. Nie zobowiązując się więc pod żadnym względem do zmiany własnego poglądu na religię i jej konsekwencje, marksiści stwierdzają realność współżycia dwu różnych struktur światopoglądowych. Na tym też założeniu opierając się państwa socjalistyczne żądają pozytywnego stosunku katolików do zrębów nowego ustroju i upominają się u czołowych przedstawicieli myśli katolickiej o współdziałanie w dziele przestawiania poglądów społeczności katolickiech z torów kapitalistycznych i burżuazyjnych na nowe drogi socjalizmu i świata pracy. Katolicy ze swej strony, na tej samej podstawie opierając się, nie rezygnując bynajmniej z głoszenia swych odrębności światopoglądowych i ich konsekwencji, mogą współdziałać w realizowaniu całego szeregu postulatów wynikających z racji stanu swego narodu.

Albo jednak ta wzajemna postawa jest tylko wyrazem marzycielstwa i utopii i obie strony będą się traktować jako wrogów, których nic nie zbliża a wszystko dzieli, albo trzeba przemyśleć i zmobilizować środki umożliwiające przestawianie katolików na myślenie kategoriami społecznymi okresu budowy socjalizmu. Bez tej tendencji wszelkie akty porozumienia będą martwą literą. Akcja zaś oddziaływania na społeczność katolicką w kierunku ewolucji jej społecznych przekonań po linii zbieżnej z socjalizmem nie może się rozwijać skutecznie, jeśli przeciętny katolik będzie miał tylko do wyboru powieść marksistowską albo powieść katolicką bez akcentów społecznych, lub, co można częściej spotkać w literaturze przedwojennej, z akcentami wyraźnie zachowawczymi. Twierdzimy więc, że katolicka twórczość literacka jest nie tylko funkcją normalnego rozwoju życia religijnego, lecz, ponadto, jest niezbędnym czynnikiem dla właściwej orientacji społecznej katolickich środowisk.

POSZERZYĆ PŁASZCZYZNĘ WŁASNEJ OCENY

Wydaje się nam też, że pilnym, aktualnym zadaniem jest w tej płaszczyźnie oświetlenie właśnie przez krytykę marksistowską dwóch zasadniczych problemów: 1 czy, jej zdaniem, w ramach aktualnej sytuacji obozu socjalistycznego, w ramach aktualnej polityki na odcinku wyznaniowym — jest celowe istnienie w Polsce wyodrębnionej światopoglądowo literatury katolickiej?, 2 jakim postulatom winna ta twórczość odpowiadać, by zachowując swą postawę katolicką, służyć sprawie zbliżenia mas katolickich ku problematyce socjalistycznej.

Problem cały stawiamy celowo w płaszczyźnie doraźnej i praktycznej, gdyż tylko w tej widzimy możność rozpatrzenia go we wspólnej z marksistami dyskusji. Jako katolicy jesteśmy, rzecz oczywista, przekonani nie tylko o celowości tej działalności ale i także o posiadaniu pełnego moralnego prawa głoszenia i realizowania tą drogą założeń naszej wiary. Kryterium tej postawy jest jednak nie celowość ale słuszność światopoglądu. W tej płaszczyźnie dyskusja z marksistami jest nie realna. Pozostaje więc tylko na tym odcinku odłożyć obustronnie argumenty pryncypialne i szukać w racji stanu narodu polskiego, w racji stanu walczącego socjalizmu odpowiedzi na postawione powyżej pytania.

Wydaje się jednak również, że dotychczasowe polemiczne potyczki, jakie na przedpolu problematyki kultury socjalistycznej staczała krytyka literacka katolicka z marksistowską, odwróciły w istocie rzeczy uwagę bojowników od zagadnień najważniejszych. Marksiści nadmiernie zajmowali się krytyką strony światopoglądowej powieści katolickiej zamiast by, zgodnie zresztą z własnymi założeniami, zająć się socjologiczną oceną katolickiego odbiorcy i odpowiedzieć na pytanie: co danemu odbiorcy i w danej chwili z punktu widzenia budowy zrębów ustrojowych socjalizmu da powieść Dobraczyńskiego czy Paukszty, Greene'a czy Marshalla. Katolicy natomiast ze swej strony, zaatakowani na swych światopoglądowych pozycjach, zajęci byli stałe bronieniem swego prawa do odrębności wizji, bronieniem uczciwości swych intencyj, wykazywaniem zasobu postępowości, zawartej w inkryminowanych dziełach. Gdy więc marksiści zatrzymywali swą krytykę na problematyce światopoglądowej, katolicy zatrzymywali swą polemikę na stwierdzaniu, iż „skaza" jest tylko wyrazem innego ujmowania tej samej rzeczywistości, innego realizowania tych samych przesłanek społecznych.

Nim jednak katolicka krytyka literacka przekona marksistów i konieczności poszerzenia płaszczyzny dyskusji, zachodzi, sądzimy, konieczność znacznego poszerzenia własnej płaszczyzny oceny recenzowanych nowości literatury katolickiej.

W ogniu polemik światopoglądowych ulegamy bowiem łatwo pokusie zajmowania z góry w krytyce pozycyj obronnych. Poddając się nieświadomie taktyce defensywy pragniemy przedstawić omawiane dzieło od strony najbardziej pozytywnej, z góry osłonić je przed ewentualnymi atakami. W obawie przed deprecjonowaniem jego wartości przez przeciwników, „ubronzowiamy" zarówno dzieło jak i autora. Mówiąc po kupiecku — zachwalamy towar.

Przesunęły się w ostatnim okresie przez szpalty katolickich czasopism nazwiska głośnych autorów i tytuły różnorodnych dzieł literackich — Werfel, Greene, Marshall, Cronin, Zawieyski, Grabski, Gołubiew, Żukrowski, Dobraczyński. Przez sformułowania katolickich krytyków przebijała nuta dumy: oto potrafimy przedstawić czytelnikowi dzieło dużej, pierwszorzędnej klasy. Do szeregu czytelników zwracano się z apelem — przeczytajcie to piękne, wartościowe, budujące dzieło. Wreszcie zgłębiano ściśle katolickie aspekty danej twórczości, przykładano uważnie miarkę zgodności z doktryną, ważono „sensus catholicus" autora i dzieła — analizowano wartości z punktu widzenia katolicyzmu i dla katolika.

Czy aby jednak krytyka katolicka nie grzeszyła tu „per omissionem", przez brak umiejętności zajęcia się aktualnym, społecznym aspektem tych dzieł? Czy krytycy zbyt często nie zapominali, że katolicyzm, że katolicy w Polsce rozwijają się w atmosferze walki o socjalizm, w aurze rewolucji społecznej, w kontakcie ze światem marksizmu, że przeto analiza dzieła musi wziąć także pod uwagę konieczność dania odpowiedzi — czemu dane dzieło ma służyć aktualnie, tu, w Polsce konkretnie. Czy krytyka nasza, jednym słowem, odpowiadała dość jasno i precyzyjnie na pytanie o celowość danego dzieła także i w płaszczyźnie socjalizmu. Czy potrafiła ewentualne braki w tym zakresie wykryć, sprostować, naprawić?

Oto zagadnienie — czy za „skazą katolicką", wyrażającą się w odmienności światopoglądów, nie znajdowała się przypadkiem nieodkryta, rzeczywista „skaza" katolicka, wyrażająca się w przeinaczeniu pewnych elementów n a s z e j wizji rzeczywistości społecznej?

WYMOGI NASZEGO ŚWIATOPOGLĄDU

Na łamach prasy katolickiej toczyła się przez dłuższy czas dyskusja o istotnych cechach katolickiej powieści. Chyba najtrafniej i najlogiczniej odpowiada na to pytanie Stefania Skwarczyńska w artykule „Literatura katolicka" (ZNAK, nr 24, maj — czerwiec 1950 r.). O powieści katolickiej nie przesądza ani osobista postawa autora, ani kościelno-religijny wątek dzieła — decyduje światopogląd, teoria rzeczywistości, jaką krytyk może wydedukować na podstawie konstrukcji treściowej danego utworu:

„Jakaś teoria rzeczywistości stoi zawsze u fundamentu dzieła literackiego, dowodzi p. Skwarczyńska; ona kieruje... wyborem i doborem przedstawionych treści, a prawa rządzące biegiem świata przez nią sformułowane warunkują przed stawiony przez autora związek przyczynowo-skutkowy, zachodzący między przedstawionymi faktami. Odgrywa zatem rolę planu konstrukcyjnego — na podobieństwo planu architekta, według którego murarz układa i piętrzy kamienie i cegły, wznosząc gmach. Jest czymś zasadniczym, czymś najgłębiej związanym z dziełem, leży u jego dna".

„Wśród szeregu takich światopoglądowo określonych teorii rzeczywistości znaleźć się musi katolicka teoria rzeczywistości. Dogmaty katolickie wykreślają jej tezy, stąd nie ma powodu bliżej ją tutaj omawiać...

Ogół dzieł literackich, których treści wynikają z oparcia o katolicką teorię rzeczywistości — proponujemy nazwać literaturą katolicką — podsumowuje swe wnioski p. Skwarczyńska".

Z powyższych przesłanek wynika w sposób oczywisty, że katolickość utworu literackiego nie ogranicza się bynajmniej do oddania moralnych, wewnętrznych przeżyć bohatera w sposób zgodny z katolickim widzeniem rzeczywistości. Wynika natomiast, że powieść katolicka powinna oddawać również zgodnie z zasadami katolicyzmu wszystkie elementy rzeczywistości otaczające i oddziaływające na człowieka, jego sumienie, jego mentalność, jego szanse zbawienia. Oddać rzeczywistość po katolicku, to oddać ją pełnie i prawdziwie.

Krytyka katolicka ma przeto prawo i obowiązek przeanalizować dokładnie obraz stosunków społecznych, odmalowanych w dziele, ich odbicia i związki z wewnętrzno-moralną problematyką powieściowych postaci. Czyniąc to jednak musi krytyka nasza również zastanowić się — jak wpłyną na odbiorcę przedstawione przez autora postacie i fakty. To co w rzeczy samej stanowić powinno treść aktualnego sporu między marksistami a katolikami na odcinku naszej literatury, to oczywiście nie problem czy major Scobie z „Sedna Sprawy" ma szanse być zbawionym, lub czy ksiądz Chilsom u Cronina jest ideałem nowoczesnego kapłana.

To co stanowić winno o sporze istotnym, to zagadnienie — czy powieść katolicka świadomie lub nie, nie zaciera czasem konturów naszej rzeczywistości, czy nie osłania błędów i wad ustrojów, czy w rezultacie nie fałszuje istoty aktualnych międzyludzkich konfliktów. Chodzi więc o właściwą interpretację faktów społecznych w tych ramach, jakie nakreśla katolicka teoria rzeczywistości, o taką interpretację, która by się nie zwracała przeciw postulatom socjalistycznych przemian. Weźmy więc:

PARĘ CHARAKTERYSTYCZNYCH PRZYKŁADÓW

Potoczyła się ostra polemika wokół „Sedna sprawy" Grahama Greene'a. Autor przedstawia tam specyficzny i trudny problem moralny, jaki personifikuje sylwetka majora policji Scobiego w zapadłej dziurze Afryki Zachodniej. Czy jednak katolicka krytyka podjęła dość odważnie problem kolonializmu wyłaniający się na dalszym planie powieści Greene'a? Czy autor, właśnie jako katolik, zdobył się na dostatecznie obiektywną krytykę brytyjskiego kolonialnego imperializmu i jego moralnych konsekwencji? Zapewne uważny czytelnik zda sobie sprawę z tego, że załamanie majora Scobie nie wynika tylko z jego wewnętrznej słabości, jako mężczyzny ustawionego między żoną a kochanką. Można wyczuć subtelne aluzje zawarte w tle, atmosferze, klimacie kolonialnym, które wskazują na niedopowiedziane oskarżenie: stosunki kolonialne są demoralizujące, niszczą sumienia, łamią osobistą uczciwość. Major Scobie jest nie tylko człowiekiem słabym wobec dwu kobiet, jest człowiekiem słabym wobec otaczającej go rzeczywistości. Można by się wręcz zastanawiać w jakiej mierze przyczyną jego upadku jest uczucie do Heleny, a w jakiej rozkładający wpływ kolonialnego środowiska. Może w istocie raczej to drugie było przyczyną świętokradztwa!

Niemniej trzeba też stwierdzić, że Greene przedstawiając mocno, wyraziście wewnętrzny kryzys moralny bohatera powieści, jakby tylko od niechcenia i dyskretnie odsłania rzeczywistość kolonialną. Więzy łączące osobiste przeżycia Scobiego z pełnym konsekwencji faktem, iż jest on kolonialnym urzędnikiem policji, strzegącym najbardziej niemoralnego, nieuczciwego i zakłamanego porządku przedstawione są wstydliwie, niejako. W rezultacie książka nie tylko nie ujawnia dostatecznie wyraźnie prawdy o świecie kolonialnym, ale, dzięki pewnym chwytom, pozwala dziesiątkom tysięcy czytelników „Sedna Sprawy" na całym świecie żyć w przeświadczeniu, że ponura atmosfera tej książki jest tylko egzotyką, dekoracją podkreślając interesujący wątek personalny, tak jak podkład muzyczny w filmie wywołuje u widza potrzebne nastroje zgrozy, smutku czy radości.

Marksiści więc, oskarżając powieść Greene'a o zakłamanie społeczne mają w pewnej mierze rację. Obowiązkiem krytyki katolickiej było wydobyć na jaw problematykę kolonialną u Greene'a i wyjaśnić podłoże jego niedomówień. Światopogląd katolicki wymaga bowiem nie tylko nieukrywania przestępku społecznego, ale i ostrzegania przed nim społeczeństwa. Powieść Greene'a ma więc na tym odcinku niewątpliwą „skazę". Jakkolwiek na pewno inaczej potępi kolonializm marksista a inaczej katolik, to jednak i na jednym i na drugim ciąży obowiązek bezkompromisowego zdemaskowania niemoralności tego systemu. W tej płaszczyźnie powieść Greene'a tylko częściowo wypełnia swe zadanie.

Greene nie jest osamotniony wobec tego oskarżenia. Zastanówmy się nad charakterystyczną bezradnością, naiwnością, wręcz społecznym dyletanctwem kapłana wobec problematyki społecznej u Bernanosa lub u Marshalla. Zagadnienia społeczne są też tam w dużej mierze potraktowane podobnie jak u Greene'a. Autor wykazuje bez wątpienia swój stosunek krytyczny do otaczających go warunków świata kapitalistycznego, świata pojęć burżuazyjnych czy obszarniczych. Księża z tych powieści są niewątpliwie społecznymi radykałami. Dlaczegoż jednak ci wzorowi kapłani, świadomi dziejącego się wokół społecznego zła, świadomi jego tragicznych konsekwencji w duszach ludzkich — tak jakoś bez wiary, bez zapału, bez pogłębienia odnoszą się do problemu reformy tych stosunków? Dlaczegoż autorzy nie pozwalają im nawet napotkać na swej drodze ludzi posiadających cych zdrowe i skuteczne sądy o metodach walki z zacofaniem, nędzą, wyzyskiem? W istocie radykalizm społeczny tych dzieł jest przeważnie połowiczny, jeśli nie fałszywy!

Nasza katolicka krytyka literacka potrafiła sformułować bardzo wiele cennych myśli o tych dziełach, jednak tego jednego obowiązku nie wykonała w stopniu dostatecznym. Nie zwróciła uwagi, nie wytłumaczyła ani nie skomentowała dwuznaczności, niedomówień, przemilczeń społecznych, które te dzieła zawierają. A nie są one bynajmniej bez znaczenia z punktu widzenia naszej oceny światopoglądowej.

Wreszcie jeszcze jeden przykład, tym razem z kręgu naszej rodzimej przeszłości. Casus Paukszta. Niewątpliwie nie wolno stawiać twórczości Paukszty obok Bernanosa, Greene'a czy Marshalla. Niemniej „Trzecia zmiana" to powieść ambitnie próbująca wejść na teren obcy dotąd katolickiej powieści w Polsce — świat robotniczy, produkcja, fabryka. Autor daje nam powieść niemal że współczesną, jej historyczne ustawienie w roku 1939 jest w dużej mierze chwytem technicznym. Powieść ta wzbudziła po stronie katolickiej zastrzeżenia tak formalne jak i merytoryczne. Atakowano brak psychologicznego pogłębienia postaci, błędy w konstrukcji, fideistyczne akcenty. Jednak nikt z katolickich krytyków nie zwrócił w dostateczny sposób uwagi na istotne fałsze wizji społecznej, przedstawionej w tej powieści. Nie uwypuklono dostatecznie mocno fałszywego postawienia zagadnienia przesądu w fabryce, nie wytknięto nieprawdziwej wizji stosunków fabrycznych, postawy robotniczej, konfliktów klasowych. Krzywdzące były niewątpliwie zarzuty, stawiane Paukszcie, że powieść jego atakuje, złośliwie przeinacza sprawy robotnicze. Można niewątpliwie odnaleźć w „Trzeciej zmianie" a k c e n t y, dowodzące, że problematyka robotnicza nie jest obca autorowi, że pragnie w swej powieści zając miejsce po stronie proletariatu. Nie ulega jednak wątpliwości, że wizja świata pracy jest w tej powieści oddana fałszywie, krzywdząco dla robotników, oraz że wypaczenia te nie wynikają z odmienności światopoglądowej, lecz po prostu z niedostatecznego opanowania problematyki przez autora.

To wszystko może być zrozumiałe w powieści, która ma wszelkie cechy trudnego debiutu. Dlaczegoż jednak krytyka katolicka nie potrafiła na czas te błędy odsłonić, sprostować? Który z krytyków katolickich zaprotestował przeciw następującą charakteryzowanemu ideałowi życiowemu robotnika polskiego: „Karambole, sztosy, grzybki (jednym słowem bilard, przyp. nasz), stanowiły dla niego treść taką, jaką dla *innych* stanowiła dziewczyna, dla jeszcze innych wódka, może sport, a dla najrzadszych, nie licznych nauka, wiedza..." Więc tylko najrzadsi z klasy robotniczej mieli przed wojną godne człowieka zamiłowania, „może" sportowe, a dla reszty — wódka, dziewka, knajpa! Podobnych nieszczęśliwych sformułowań można w tej książce wyłowić sporo. Krytyka katolicka jednak spierając się wokół wielu spraw z „Trzecią zmianą" związanych — aspekt społeczny potraktowała na ostatnim planie.

Z powyższych spostrzeżeń wynika jasno, że katolicka krytyka literacka pomijała niewątpliwie ważne aspekty swej literatury. Trzeba, wydaje się, zwrócić się z apelem do katolickich krytyków o zwiększenie uwagi w stosunku do społecznej problematyki w powieściach współczesnych.

JAK POKONAĆ „SKAZĘ"?

Nam jednak chodzi tu o wniosek jeszcze ważniejszy. Analiza, najzupełniej zresztą powierzchowna paru ostatnich nowości literackich katolickich wskazuje, naszym zdaniem w sposób oczywisty, iż nie można przejść do porządku dziennego nad zagadnieniem „skazy" w naszej literaturze. Istotnie taka „skaza katolicka" rysuje się wyraźnie, choć ma ona zupełnie inny charakter, niż ten, który próbowali jej nadać marksistowscy krytycy. Skaza ta polega nie na tym, by wprowadzenie do powieści akcentów chrześcijańskiego światopoglądu skazywało dzieło nieuchronnie na pełnienie roli społecznie reakcyjnej. Polega ona natomiast na tym, że powieściopisarze katoliccy, z przyczyn, nad którymi należało by się osobno zastanowić, podchodzą, jak dotąd, do problematyki społecznej niepełnie, czasami dwuznacznie. Dając czytelnikowi katolickiemu do ręki dzieło napisane w duchu niewątpliwie postępowym, dajemy jednak naświetlenie społecznie ułomne, niewystarczające. Wynika to, jeśli chodzi o tłumaczenia, z całkowicie odmiennej atmosfery w jakiej powstaje twórczość katolicka, z nieprzygotowania dużej części odbiorców do przyjęcia sformułowań społecznie rewolucyjnych. Odnosi się wrażenie, że autorzy w najlepszym razie przemycają swe radykalne poglądy. Jeśli zaś chodzi o literaturę polską — są to po prostu pierwsze kroki obciążone jeszcze całym balastem przyzwyczajeń myślowych okresu przedwojennego, a z trudem formułujące własne stanowisko wobec aktualnych w chwili obecnej ściśle marksistowskich założeń.

Jeśli jednak odkrywamy w najcelniejszych dziełach współczesnej literatury katolickiej tyle błędów społecznych — może po prostu należy zaprzestać jej szerzenia, czekać na pojawienie się nowych, dojrzalszych talentów?

Znaczyło by to naszym zdaniem iść po jak najfałszywszej drodze. Potrzebne są nam dobre wzory literatury katolickiej tak samo jak całej literaturze potrzebne są wzory klasyczne. Wydani w Polsce pisarze katoliccy, francuscy czy angielscy przedstawiają sobą niewątpliwą klasę artystyczną. Ale to jeszcze nie wszystko. Niezależnie od reprezentowanych elementów postawy społecznie postępowej — literatura ta stanowi poważny wkład w pogłębienie założeń własnego światopoglądu. Reprezentuje katolicyzm głębi. Na płytkich, tradycjonalistycznych i fideistycznych postawach religijnych żerują niewątpliwie najróżnorodniejsze pasożyty wstecznictwa obyczajowo - kulturalnego. Im głębszy, bardziej przeżyty i przemyślany staje się stosunek do własnej religii — tym lepszy staje się grunt dla dostępu do umysłów idei postępu i uspołecznienia. Obiektywnie rzecz biorąc — problematyka wniesiona do umysłów przez autorów takich jak Greene czy Marshall niewątpliwie, mimo wszelkich braków, wpływa w sposób ostateczny pozytywnie na postawę katolików polskich.

Pozostaje aspekt ściśle społeczny. Trzeba sobie uświadomić, że odbiorca literatury polskiej, zarówno tej, która wyrasta w kręgu marksistowskich wpływów, jak i katolickich, nasiąknięty jest jeszcze poważnie nalotami pojęć i smaków czasów minionych. Jeśli chodzi o społeczność katolików, to dołączają się do tego jeszcze wyraźne opory natury społeczno-politycznej. Rozładowywanie ich i przezwyciężanie wymaga czasu i umiaru. Wydaje się, że rzucone na rynek kulturalny dzieła katolickie stanowiły, mimo swych niedomówień i braków— potężny dopływ nowej myśli społecznej, dojrzalszej i bardziej frapującej od tej, którą te same środowiska karmiły się dotychczas. Jest to więc krok naprzód. By iść dalej, trzeba niewątpliwie ruszyć z miejsca naszą własną, rodzimą twórczość artystyczną katolicką, wyrastającą już bezpośrednio w kręgu najbliższej nam problematyki. Artystycznie i światopoglądowo będzie ona jeszcze mogła wiele czerpać z obcych wzorów, społecznie będzie musiała jednak poważnie tamte wzory prześcignąć. Nie róbmy sobie jednak złudzeń, byśmy byli w stanie własnymi siłami osiągnąć od razu zamierzony ideał. Literatura marksistowska, jakkolwiek dysponująca rezerwami znacznie potężniejszymi — też jest zmuszona do przyjmowania i wyróżniania nawet dzieł bardzo dalekich od doskonałości doktrynalnej.

ZADANIA KRYTYKI

Wracamy tu więc do zasadniczej roli krytyki. Dając możliwie największą ilość „klasycznego" materiału literackiego katolickiego, przyjmując życzliwie każde osiągnięcie rodzimego talentu, musimy jednak obarczyć krytykę poważnymi obowiązkami dydaktycznymi. Z jednej strony obowiązkiem krytyki jest nastawić we właściwy sposób czytelnika w stosunku do danego utworu. Mając więc do czynienia z powieściami katolickimi, odznaczającymi się niemal bez wyjątku „skazą" braku dostatecznie sprecyzowanych związków elementów społecznych i przeżyć indywidualnych bohaterów, zadaniem krytyki jest te związki uwypuklić, podkreślić wytłumaczyć czytelnikowi specyficzne przyczyny dla których autor tak właśnie swą powieść skonstruował. To problem odpowiedzialności krytyka za właściwą, lub fałszywą interpretację powieści przez ogół czytelników.

Drugie natomiast zagadnienie, to na podstawie precyzyjnej analizy, wskazywanie młodym pisarzom katolickim — co ze wzorów obcej twórczości literackiej katolickiej należy

(dokończenie na str. 5-ej).

Jan Józef SZCZEPAŃSKI

POLSKA JESIEŃ

(dokończenie)

— Mogę iść — rzekłem, czując zarazem, że w tej chwili niezdolny jestem do jakiegokolwiek wysiłku.

Rezerwista przyjrzał mi się powątpiewająco i wzruszył nieznacznie ramionami. Tymczasem koło drogi wszczął się jakiś ruch. Ludzie biegli z głębi lasu, nad rowem gęstniał szpaler gapiów. Przepchaliśmy się do naszych zaprzęgów, wleźliśmy na najbliższy przodek. Środkiem traktu sunęła powoli wielka, czarna limuzyna z białą chorągiewką na błotniku. Wracali parlamentariusze.

Po obu stronach drogi zapanowało milczenie. Setki mężczyzn obserwowało ze zmarszczoną brwią błyszczące pudło samochodu. Wewnątrz majaczyły jakieś blade, nieruchome profile, żółcił się pleciony grubo sznur adjutancki, obciągnięte rękawiczkami dłonie spoczywały martwo na kolanach.

— Może nie zgodzili się na warunki? — szepnął mi w ucho Kazek.

Samochód minął nas, przysiadając ciężko w piaszczystych koleinach i potoczył się w stronę mostku ponad wciętym w głęboki parów strumykiem. Kawałek dalej przystanął. Z lasu, utykając, stawiając przednimi nogami małe, niepewne kroczki, wyszedł koń i zatrzymał się przed samą maską motoru. Była to zabiedzona, kara szkapina z sierścią zmierzchwioną, powycieraną przez uprząż i złażącą z grzbietu całymi płatami. Kości chudego zadu sterczały ostro, a skóra na nich pokryta była strupami. Szofer nacisnął klakson. Chrapliwe beczenie zabrzmiało dziwnie w ciszy, ale zwierzę nie ruszyło się z miejsca. Opuściło łeb, apatycznie obwąchiwało piasek przed sobą. Wtedy jakiś żołnierz podbiegł ku niemu, klepnął dłonią po boku. — No, idźże na wolność, bestyjo! — zawołał — jazda, do cywila trupie. — Chabeta obejrzała się ze zdumieniem i poczłapała na drugą stronę, opędzając ogonem muchy ze swych zaskorupiałych ran.

×

Wypłacono nam żołd. My, podchorążowie, dostaliśmy po sto złotych. Obracaliśmy bez przekonania w palcach nowe, szeleszczące banknoty. — Za twarde żeby dupę obetrzeć — powiedział Marchewka, — najwyżej można sobie schować na pamiątkę. — Kanonierzy jednak przywiązywali do swych dwudziestozłotówek wielką wagę. Ogniomistrz Misiąg pozostawił listę płatniczą w nieładzie. Nie powciągał na nią ochotników i rozbitków, którzy dołączyli w ostatnich czasach. Między innymi poszkodowany był Cięciała. Kręcił się wśród nas z ponurą miną i narzekał, że go oszukano. Zrobiliśmy na niego składkę w plutonie między „szarżami".

Wręczając nam pieniądze, Redycz kazał się wszystkim ogolić. Sam wyświeżony był jak na służbę. Miał czysty żabot, jego buty błyszczały nieskazitelnym glansem. — Nie pójdziemy do niewoli jak dziady — rzekł — niech szwaby widzą, że mają do czynienia z wojskiem, nie z bandą. — Jego władczy sposób bycia nie uległ zmianie. Tylko bykowiec nie dyndał mu już u pasa. Może dzięki temu wydawał się teraz sympatyczniejszy. Jego energia i pewność siebie działały na wszystkich krzepiąco, podtrzymywały złudzenie jakiegoś ładu. Goliliśmy się nad strumieniem, a trwało to bardzo długo, bo mało kto miał żyletkę czy brzytwę i trzeba było czekać w kolejce. Porucznik Herbst, ledwo skończył swoje ablucje, wyciągnął browning i zaczął walić raz za razem w pień grubego buka. Jakiś major wrzeszczał na niego z mostku, że nie wolno strzelać, ale Herbst był wściekły i nie odwrócił nawet ku niemu głowy. Wypróżnił cały magazynek, a potem rzucił rewolwer w wodę. — Niech łowią dranie, jak chcą — powiedział.

Poszliśmy z Kazkiem szukać owego rezerwisty z szóstego palu i jego kolegów, z którymi mieliśmy uciekać do Rumunii. Poszukiwania nasze nie dały jednak żadnych rezultatów. W szóstce panował jeszcze większy bałagan niż u nas. Ludzie szwendali się między zaprzęgami bez celu, nikt o nikim nie wiedział.

— Pewnie bryknęli już bez nas — mówił Kazek. — Nie martw się chłopie. Damy sobie jakoś radę. Może uda się nam przedtem zajrzeć do domu i zobaczyć naszych staruszków.

Nie martwiłem się wcale. Było mi to zupełnie obojętne. Nie wierzyłem w tę całą Rumunię. Sama jej nazwa brzmiała mi podejrzanie, budziła niemiłe skojarzenia.

Kiedy wróciliśmy do baterii, kanonierzy zajęci byli wyładowywaniem amunicji z jaszczów. Układali granaty w wielką pryzmę na mchu opodal rowu. Głębiej w lesie, gdzie biwakowała niedawno piechota, widać było ustawione jak do przeglądu karabiny maszynowe i broń ręczną w kozłach, wyrównanych długą linią między drzewami, niczym kopki pozostawione przez żniwiarzy. Przy moim dziale Sławik i doktór Kurek pieczołowicie czyścili lufę, a Marchewka mokrą ścierką zmywał zeschnięte błoto ze szprych. — Łazikujesz gdzieś, a my tu pracujemy — rzekł. — Widzisz jakie porządki dla Niemców? Oficerowie zaręczyli słowem honoru, że oddamy sprzęt w dobrym stanie. Nie wolno niczego niszczyć. — Zmrużył oko, schylił się, wziął garść piasku z drogi i sypnął w gwint otwartego zamku. Potem z całej siły przekręcił rygiel. — Sram na ich honor — powiedział. — Mój honor jest taki, żeby dostali szmelc. W swoim karabinie złamałem iglicę. Zrób to samo, póki jeszcze flinty są na przodku.

Posłusznie wyciągnąłem spod siedzenia przodka pierwszy lepszy karabin. Nie sprawdzając nawet numeru wyjąłem z niego zamek i wyrzuciłem w krzaki. — To też dobre, tylko za bardzo rzuca się w oczy — rzekł Marchewka. — Honor oficerski, psia krew — zrzędził dalej. — Dawać słowo hyclowi, też pomysł. Zawsze wymaga się, żeby ten co dostaje po dupie był honorowy. Na szczęście my nie jesteśmy jeszcze oficerami. Możemy kichać na to. Myślisz że oporo-powrotnik działa? Guzik! Miałem w podchorążówce zawsze celująco ze sprzętu. Teraz się przydało. I to nie taka frajerska robota, jak z tym piaskiem... — umilkł, bo na drodze ukazał się Herbst w towarzystwie Redycza. — Mamy doprowadzić baterię do wsi Cieszanów — mówił Redycz, — a później oni sami się zgłoszą. Amunicję i broń ręczną zostawiamy tutaj. Szósty pal już odchodzi, więc powinniśmy ruszyć najdalej za pół godziny. Ma pan ordynansa?

— Herbst pokręcił przecząco głową. — Na cholerę mi ordynans?

— Każdemu z nas wolno wziąć ordynansa ze sobą. Niech pan sobie wybierze kogoś z plutonu. Znajdzie pan pewno chętnych, bo w obozie oficerskim będzie lepsze żarcie. — Spojrzał na zegarek, a potem na niebo, które uparte eskadry bombowców znów napełniały swoim warkotem.

×

Ciepło słonecznego dnia rozcieńczyło się już wodnistym chłodem, kiedy zatrzymaliśmy się koło rozstaja. Las pozostał za nami, tylko z lewej strony na łąkach zieleniły się kępy małych zagajników spryskane delikatnie po brzegach kadmem jesieni. Z prawa otwierała się monotonna równina rżysk i podorywek. W oddali widać było przyczajoną wśród wierzb wioskę i przekreślony cerkiewny krzyż połyskiwał złoto w niskim słońcu. Zawiewało stamtąd gorzkim dymem palonej po polach naci. Przed nami droga wchodziła w wąski, topolowy szpaler, a od łąk oddzielał ją niski żywopłot, upstrzony białymi kulkami.

Porucznik Herbst jechał krok za krokiem wzdłuż plutonu. — Może kto chce ze mną iść jako ordynans? — powtarzał. Nikt się jednak nie zgłaszał. Herbst patrzył ponad głowami ludzi, jakby się wstydził. — Może macie i rację — rzekł wreszcie. — Z niewoli żołnierskiej łatwiej zwiać. Zresztą i tak rozpuszczą was pewnie do domu. Przystanął między moim jaszczem, a zaprzęgiem Kazkowego działa. — No chłopcy, musimy się pożegnać — powiedział i umilkł, zakłopotany utkwionymi w nim milczącymi spojrzeniami kanonierów. W tej chwili nadjechał od tyłu Redycz. — Panie kolego — zawołał — proszę zrobić zbiórkę plutonu, szybko, tutaj wzdłuż zaprzęgów.

Kiedy ustawiliśmy się w dwuszeregu na drodze — zwiad, oba plutony i nawet nieliczni taboryci, Redycz zlazł z konia. Za nim, nad rowem, stanęli Herbst i Florczak. Redycz chrząknął parę razy, sięgnął do pasa, jakby chciał pobawić się ulubionym bykowcem, a nie znalazłszy go schował dłoń za plecy. — My oficerowie odchodzimy teraz — powiedział. — Po was przyjdą niemieccy łącznicy, żeby was odprowadzić na jeniecki punkt zborny. Uciekać nie radzę, bo jesteśmy najdokładniej otoczeni. Opiekę nad baterią obejmują funkcyjni. Ostrzegam was także przed zaglądaniem do okolicznych wiosek. Wszędzie pełno tam ukraińskich nacjonalistów, którzy pomagają Niemcom w wyłapywaniu zbiegów. Dowództwo niemieckie obiecało dać nam normalne wyżywienie wojskowe i zaopiekować się rannymi. — Przerwał, zrobił parę niepewnych kroków w lewo, potem w prawo, widać było, że nie wie jak zachować się w tej sytuacji. — Nie chcę wam już nic rozkazywać — podjął po chwili — bo jestem jeńcem, tak samo jak wy. Ale proszę was, żebyście w niewoli nie zapomnieli o godności polskiego żołnierza. To będzie trudniej niż na wojnie... Pamiętajcie, że idziecie między obcych, między wrogów, którzy nie ominą żadnej sposobności, żeby upokorzyć waszą narodową dumę. — Zaciął się znowu, a my czekaliśmy cierpliwie aż zbierze myśli.



— W jednym z wozów taborowych zostało trochę prasowanej kawy — przypomniał sobie. — Podzielcie ją sprawiedliwie między siebie.

Spojrzał na zegarek, swym zwykłym ruchem zsunął na bok furażerkę i przygładził włosy.

— Dziękuję wam w imieniu służby — rzekł. — Byliście dobrymi żołnierzami i spełniliście swój obowiązek. Ufam, że wasze poświęcenia nie pójdą na marne. Dziękuję wam także od siebie. — Uśmiechnął się nagle, jakoś inaczej niż zwykle: miękko, nieśmiało. — Co się stało, to się stało — powiedział, ale nie ma sensu rozpaczać. Nie traćcie nadziei. Polska będzie bo... bo musi być. Czołem chłopcy!

— Czołem panie poruczniku! — odkrzyknęliśmy chórem.

Długo jeszcze patrzyliśmy za grupką oficerów, oddalających się kłusem w stronę wsi. Florczak wyprzedzał innych na swym siwym wałachu, gabardinowa peleryna wydymała mu się na plecach w wielką banię. Z tyłu nadążały z trudem dwie nędzne chabety ordynansów.

— Fajny chłop był Redycz — zauważył któryś z kanonierów.

— E, oni wszyscy fajni, jak przyjdzie na nich kreska — mruknął inny.

Było nam jednak markotno. Zostaliśmy sami, bez celu przed sobą, niepotrzebni już na nic, jak rozbitkowie na bezludnej wyspie, od których świat odsunął się w łoskocie katastrofy.

— Pójdę po tę kawę, panie podchorąży — rzekł Funt, — taboryty wszystko zeźrą, jak się nie pośpieszymy.

W perspektywie ciemnego tunelu zabłysła jaskrawo biała gwiazda. Zgasła, zapaliła się znowu. Rozkołysana zbliżała się ku nam ponad ostro zarysowaną sylwetką końskiego łba o szpiczastych, strzygących nieufnie uszach. Siedzieliśmy w siodłach, przygotowani do marszu, pogrążeni w wyczekującej ciszy. Światło przystanęło na wysokości naszego zwiadu, strzeliło długim promieniem w bok.

— Hej, Kurt, dort sind die Vögel — rzekł młody, wesoły głos.

Miękki tupot kopyt przyśpieszył rytmu. Cienie jeźdźców sunęły szybko wzdłuż żywopłotu. Latarka na piersi jednego z nich błyskała od czasu do czasu, oświetlając fragment obciągniętego szarym suknem kolana, karabin zwisający pionowo u siodła, lub gładki wałek koca, opięty na łęku.

— Są — szepnął Pyrych jakby z ulgą. Napięcie, w jakim oczekiwaliśmy tej chwili, zwiotczało. Czas męczącej pustki dobiegł kresu. Byliśmy już po drugiej stronie rowu, dzielącego wojnę od niewoli.

Niemcy wracali z końca baterii. Ich siodła skrzypiały, łańcuszki munsztuków podzwaniały kapryśnie. Wkrótce potem oś zaprzęgu przede mną zgrzytnęła, zaszurał piach. Ruszyliśmy stępa.

Nie wiem jak długo trwał ten nocny marsz. Pewnie znacznie krócej niż wszystkie inne dotychczas. Dla mnie czas jego wymykał się wszelkiej rachubie. W ciemności i milczeniu koła mełły z chrzęstem bezkształtne chwile, czarne drzewa osuwały się w mrok, wszystkie jednakowe, upiornie ciche, jakby nie odważyły się szumieć.

W jakiejś wiosce zatrzymaliśmy się nie wiadomo dlaczego i tutaj moją otępiałą drzemkę rozerwał ostry huk eksplozji. Ktoś gnał galopem od czoła, w tyle kolumny podniosły się wrzaski, przekleństwa i jęki. Na przodkach i wśród jezdnych zapanowało nagłe ożywienie. Odbiją nas, — powiedział drżącym głosem doktór Kurek.

Nasłuchiwaliśmy podnieceni. Wrzawa cichła, podsycana tylko niezrozumiałymi ochrypłymi krzykami Niemców. Potem podjechał do mnie Kazek. Bełkotał coś, jąkał się ze wzburzenia, nie mogłem pojąć o co chodzi. — Zbrodniarze, bydleta! Rany boskie, powinno się spalić całą wieś, wyrżnąć drani do nogi!

— Co, co się stało? Gadaj!

— Banderowcy, chamy przeklęte, rzucili granat do naszego wozu z rannymi.

— Jezus, Maria! Cwalina... — zawróciłem, wbiłem ostrogi w brzuch ospałego wierzchowca. Ale nim ujechałem parę korków, ktoś bryznął mi światłem w oczy. — Halt! Wohin?

Nie mogłem znaleźć potrzebnych słów. — Verwundeten, Verwundeten... — powtarzałem.

— Zurück Mensch! Wir sorgen jetzt dafür.

Ruszyliśmy dalej, w noc pociemniała jeszcze od naszej bezradności. Znowu jechaliśmy lasem, potem droga skręciła i weszła nagle w smugę nieruchomego, zimnego światła. Gdzieś niedaleko mruczały motory. Kazano nam stanąć.

Przed nami był szeroki most, wypłukany z ciemności spojrzeniem dwojga rozjarzonych ślepi, płonących po drugiej jego stronie. Przed reflektorami przesuwały się płaskie sylwetki ludzi w hełmach — każda z ostrym kolcem bagnetu nad głową. Długie ich cienie kładły się na pustą jezdnię, łamały o kanciaste bariery i opadały ukośnie w parów rozrzedzonego po brzegach mroku. Dalej biegła widocznie szosa, bo słychać było jadące samochody, a nie bieskie robaczki przyćmionego blasku wedrowały uparcie, jeden za drugim, linią zbliżającą się od południa ku rzece.

Mrużyliśmy oczy oślepione boleśnie tą jasnością. — Tak właśnie wybiera się ryby ze stawu — pomyślałem.

Na środek mostu wysunęło się kilka postaci. Jakiś oficer w rozpiętym, skórzanym płaszczu i w czapce o przesadnie wygiętym denku, paru żołnierzy z pochylonymi karabinami w dłoniach i podoficer Polak z białą opaską na ramieniu. Ten ostatni postąpił ku nam parę kroków i złożywszy dłonie przy ustach zawołał:

— Tylko jezdni mają zostać przy koniach. Reszta zejść i przechodzić kolejno przez most. Kto ukrył przy sobie jakąś broń, niech sam zgłosi przy rewizji, bo jak znajdą potem u niego, to będzie rozstrzelany. Iść spokojnie i nie cisnąć się!

Długim szeregiem postępowaliśmy naprzód, w coraz większą jasność, od której ściskało w skroniach. Co parę kroków pochód ten przystawał, ruszał znowu, przystawał i ruszał z monotonnym szurgotem ciężkich butów. W przodzie rewidujący Niemcy wykrzykiwali gardłowo jakieś zapytania i uwagi. Ponad tłumem górowała buńczuczna czapka oficera.

Byłem już blisko reflektorów. Poza białą błoną blasku dostrzegłem zaczajone przy ziemi lufy karabinów maszynowych. Człowiek przede mną podniósł wolno ręce w górę, ciągnąc za nimi smugi cienia, jak pióra rozwijanych skrzydeł. Dwa hełmy pochyliły mu się u boków, niczym twarde łby lekarzy, osłuchujących pacjenta.

— Los! Der Nächste!

Ze ściśniętym sercem stanąłem naprzeciw bezlitośnie wytrzeszczonych latarni.

Jan Józef Szczepański

POWIEŚĆ KATOLICKA — PROBLEM AKTUALNY

przyjąć, co odrzucić, a co uzupełnić. Każda powieść katolicka, rzucona na polski rynek wydawniczy, tematyką związana z naszą współczesnością musi być przez krytykę przeanalizowana właśnie pod kątem widzenia materiału doświadczalnego dla młodego katolickiego pisarza, przed którym stawiamy dziś zasadnicze zadanie porania się z aktualną tematyką.

Dopiero tak ustawiona aktywność krytyczno-literacka sprowadzi, wydaje nam się, na właściwą płaszczyznę toczący się spór między katolikami a marksistami o ocenę powieści katolickiej w aktualnym życiu społeczno - politycznym. Takie sformułowanie problematyki pozwoli nam na operowanie materiałem wydawniczym już nie tylko jako wkładem kulturalnym i światopoglądowym na rzecz najszerszych rzesz czytelników, lecz jako konkretnym materiałem wychowującym dla przyszłych zadań zarówno kręgi katolickich odbiorców, jak i młode pokolenia katolickich pisarzy w Polsce.

Wojciech Kętrzyński



Mirèio — bohaterka poematu Mistrala.
Rzeźba — Francis Carli.

POEZJE

Pieśń Zalotnika

Fragment z poematu „Mirèio“

O, Magali, umiłowana,
aby z okienka główkę wychyl,
posłyszysz moją pieśń poranną,
jak w bęben huka, skrzypką wzdycha.
Tyle na niebie gwiazd przede dniem,
wiatr śpi u wzgórza.
Ale mi wszystkie gwiazdy zbledną,
ino cię ujrzą.

MAGALI

Co te szelesty między chróstem,
Twa pieśń poranna mnie obchodzi.
Skoczę i w jasne morze plusnę:
węgorz, pod głaz przycupnę w wodzie.

ZALOTNIK

O, Magali! Jeżeliś rybka
i skroś toń świecisz,
ja, rybak, w brzeżnych kląkłszy wiklach,
zgarnę cię w sieci.

MAGALI

Nigdy! Ty zmienisz się w rybaka
i pomkniesz chytrze więcierz ku mnie,
a ja się nagle zmienię w ptaka
i w kraj stepowy tobie frunę.

ZALOTNIK

O, Magali? Jeżeliś ptaszę,
mknące najściglej,
ja ptasznik i czatuję na cię
i zwabię w sidła.

MAGALI

Mnie? Ty swoimi wnyki wkoło
i szpacząt i przepiórcząt sięgaj,
a ja się tobie zmienię w zioło
i skryję się w ogromnym łęgu.

ZALOTNIK

O, Magali! Jeżeliś kwiatek,
stokrotka sina,
ja, zdrój przeźroczy, twoje płatki
rosą opłynę.

MAGALI

Ty się przemienisz w srebrny ponik,
a ja się zmienię w obłok wielki
i będę przestworzami gonić
do Ameryki, hen, daleko.

ZALOTNIK

O, Magali! Jeżeliś obłok
nad India adzieś tam,
ja, wiatr, porwałem cię ze sobą,
w ramionach niesę.

MAGALI

Radbyś! Ty w wichr się morski zmieniasz,
a ja znów pierzcham ci kryjomko
i cała jarzę się promieniem:
lód przy mnie taje, jak przy słonku.

ZALOTNIK

O, Magali! Jeżeliś płomyk,
zarzewie z nieba,
ja, salamandra,smok zielony,
wypiję ciebie.

MAGALI

Nic to! W jaszczuraś się przedzierżgnął,
w gęstwie się czaisz, chowasz w ostęp,
a ze mnie, raz - dwa, księżyc pełny,
który guślarzom błyska nocą.

ZALOTNIK

O, Magali! Jeżeliś jeszcze
miesiąc pogodny,
ja miękka mgła i cicho pieszczę
twoje jagody.

MAGALI

Choćbyś mnie nawet mgłą okręcił,
niechaj! Nie minie pacierz, zniknę
i w różę zmienię się z dziewczęcia
i, krasawica, nad kierz kwitnę.

ZALOTNIK

O, Magali! Jeżeliś pączek,
róża królowa,
ja motyl i przypadnę rączo,
będę całować.

MAGALI

Patrzajcie mi go, jaki skory!
Ani mnie chwycisz, ani pojmasz.
Oto-m jest dąb, zarosłam w korę
i w leśnych mrokach żyję doma.

ZALOTNIK

O, Magali! Jeżeliś drzewo
na uroczysku,
ja, bluszcz, owinę ciebie rzewno
i będę ściskać.

MAGALI

Mnie? Moją kibić? Nadtoś śmiały!
Trzymajże gałąź, stare próchno,
a ja się zmienię w mniszkę białą,
Świętemu Błażejowi w druhnę.

ZALOTNIK

O, Magali! Jeżeliś mniszka
i trusia blada,
ja kapłan, zstąpię do kapliczki
by cię spowiadać.

MAGALI

Ledwie klasztorną, przejdziesz furtę
i tylko wejdziesz w próg mej celi,
owóż, zobaczysz siostry w smutku,
a mnie wśród nich w śmiertelnem czechle.

ZALOTNIK

O, Magali! Jeżeli zamrzesz,
wtedy ja, biedny,
stanę się ziemią i tą ziemią
ciebie posiędę.

MAGALI

Teraz uwierzyć mogę wreszcie,
że nie wyśmiewasz się z dziewczyny.
Daję ci tutaj szklany pierścień.
Weź, na pamiątkę, mój jedyny.

ZALOTNIK

O, Magali! Bóg zapłać szczodrość.
Czy widzisz gwiazdy?
Ujrzawszy ciebie z niebios modrych
zbladły i zgasły.

Wieża Barbentano

(Ballada ze zbioru pt. „Złote wyspy“ — „Lis Isclo d'Or“).

I

Jego Jasność Czarnoksiąż, biskup awinioński,
zbudował wieżę w Barbentano,
której ni morze ni orkany
i ani nawet Zły ukąsi.
Czworoboczna
i rozparta
na opoce,
czoło ma w słońcu.
Zaklęcia bronią jej od czarta
i gdyby aż ku oknu wzlatał
i chytrze wkradał się za witraż,
biskupia wstęp zagrodzi mitra.

II

Jego Jasność Czarnoksiąż, biskup awinioński,
dla pilnowania wieży najął
świętego człeka, Jaśka Chwałę,
co nigdy nie przeklinał głośno.
— Chcesz być zbawion?
Pilnuj dobrze,
mości Chwało. —
Ba! Straszna sprawa
klucznika Jaśka dzisiaj trwoży:
w Ance Chwalance serce gorze,
zaś choć kochanie długo nie trwa,
prowadzi czasem wprost do piekła.

III

J... Jasność Czarnoksiąż, biskup awinioński,
— myśli Jaś, — pewnie się obrazi,
gdy dowie się, że jakiś łazik
broi we wieży o północku:
„Kluczy wzbronię,
mości Chwało,
nieuchronnie
precz cię wygonię
i dobre imię stracisz marnie,
twoje florenki inny zgarnie,
lub zaraz mi szaloną Ankę
na cztery spusty w wieży zamknij!“

IV

...go Jasność Czarnoksiąż, biskup awinioński,
święcił snadź wieżę, — śpiewa Anka
bo tu spodziewam się kochanka
i czystych pieszczot pośród nocki.
Chodź, chodź, prędzej,
najkochańszy,
zanim księżyc
w dal nam uleci.
Chrapnęli ociec, u drzwi zasnął.
Wzdychając, słowik z gaju klasnął.
Przyjdź, przyjdź! Nad zębatymi baszty,
popatrz, wirują wszystkie gwiazdy.“

V

Jego Jasność Czarnoksiąż, biskup awinioński,
pozwolił, aby wokół muru
wieży bluszcz gałęzisty urósł,
a Zły go w szpary zdradnie rozsnuł.
Po gałęziach,
w górę, w górę,
młody pnie się
i bluszcz tak rwie się,
jak uszarpany przez wichurę.
Miłość zdobywa wieżę szturmem.
Drwi sobie z grotów i halabard,
świetlana pnie się, nie ustawa.

VI

Jego Jasność Czarnoksiąż, biskup awinioński,
zbudował wieżę niebotyczną, —
woła kochanek, — lecz, ja, śliczna,
na stokroć wyższą, rad bym wspiął się!
Do dziewczyny,
gołąbeczki,
do jedynej
śmiele się wspina,
goręcej do niej tęskni jeszcze
i do jej ust przywiera wreszcie.
Och, Jezu! Wtem się łamie gałąź.
Spadł i rozbija się o skałę.

VII

...go Jasność Czarnoksiąż, biskup awinioński,
mówią, nie gromił Jaśka Chwały,
jeno u wieży sam się kajał,
że zbyt potężny dał egzorcyzm:
— Jakże smutna
dola Anki.
Szczęścia krótko,
strata okrutna
i serca na wiek wieków skarga. —
Jej miły! Ledwie dotknął warg jej!

— — — — — — — — —

Odtąd, niech dzwonić północ zacznie,
słyszysz?
Nieboga w wieży płacze.

1862

MISTRALA

Dobosz spod Arcole

I

WSTĘP.

„Allons, enfants de la patrie“
wśród dzielnych regimentów grzmi:
bitni Prowansalczycy, żwawe Szampaniaki,
Flamandy i Bretony pod trójbarwnym znakiem:
i w chmurze pyłu wielkiej szli
hurmą na rozgrom Austriaka.

Błyskawico straszliwa, która niebo ciemne
rozdarłaś! Ludy Francji, pot swój dając ziemi,
i kto mniej, a kto więcej pilnując winniczki,
mówią: „Dojrzało grono, bracia, rwijmy kiście
i rzućmy w jedną beczkę owoc wyzłacany.
Niech nowe wino krzepnie i chowa się dla nas!“

Więc płomień chwyta serca wkrąg,
więc w pełnych beczkach kipi sok.
Żołnierz woła o wino, z kamraty się trąca,
całuje sztandar, słucha pieśni pałającej,
aż nagle tupnął, leci wskok
i pod Wolności Drzewy pląsa.

Takie to uniesienia i szaleństwa szumne,
jak moszcz lub ruń wiośniana, jak młodych lat bujność,
zwiodły żłopaczy piwa, Niemców, że za Rzekę
z princami - rudzielcami na zabór się wleką
i obiecują sobie w kij wiązać Francuza,
byleby słomianego nie zbrakło powrósła.

II

BITWA

Jest w Armii Włoskiej dobosz,
powiedzieć prawdę, dzieciak,
a ze starymi obok
za Republikę rwie się.

Tych, którzy z roli żyją,
i kość i krew, prostaczek.
Ale godzina bije.
Wielcy i mali, naprzód!

Od lilij wysmuklejsi
idą i wrogów trwożą
i świat się cały sprzysiągł
na wolność i Francuzów.
Twierdze o pardon proszą
i sępy ścierwa łakną
i wojska przeciw wojskom
ciągną już na spotkanie.

Dzieliły je do wczoraj
góry i nurty hyże,
lecz dziś most pod Arcole
nareszcie je przybliżył.

Do mostu bronią naszym
dostępu cztery działa.
Drobnostka! Działom strasznym
odpowie serce śmiałe.

Och, źle. Pierwsze szeregi,
gdy skoczą ku przeprawie,
zaraz pokotem legną
wśród gromów i błyskawic.

Później druga brygada
rzuca się na bagnety.
O, zgrozo. Też przepadła,
z tamtymi w pień wycięta.

Nie ugiął się Bonapart,
— Wiaro, — zawoła, — za mną!
i w lewej wznosi sztandar,
z dobytą biegnie szablą.

— Most mi wziąć, grenadiery! —
Ba! Najdzielniejsi nawet
ponurzy przystaneli
i los im twarze smaga.

Mów, bohaterska Francjo:
stchórzą synowie Twoi?
sławę żołnierską stracą?
postrach tyranów, oni!?

Nigdy. Bo mały dobosz,
patrzcie, w zamęcie bitwy,
wśród kul się wyprostował
i za pałeczki chwyta.

Płomień mu w piersi wzbiera.
Ile sił, bije braciom
pobudkę i przed szereg
staje przy Bonapartcie.

A chociaż i pokrzewki
nie przerosłby niebożę,
grzmi jego werbel śpiewem
o Francji o honorze



i popędliwy, gniewny,
o synach i o starcach
i o wolności śpiewa
aż oblatują ciarki.

Inny duch ich ogarnia,
młokosów szlochających
i posiwiałą wiarę
z wiązanym w pętlę włosem.

Werbel, przeciągły werbel
zmieszaną wiarę zdumi,
skupi dokoła siebie
i porwie, hej, do szturmu.

W mordercze salwy armat,
które wzbraniają mostu,
ciska się nasza armia
na nieprzyjaciół prosto.

I dymi krew naokół,
i słychać wrzask i charkot,
i wybuchają prochy,
i śmierć, i wicher targa.

Śpiewając Marsyliankę,
krzycząc: Niech żyje wolność!
— Francuzi Austriakom
wzięli most pod Arcole.

III

PANTEON

Ach, mały dobosz, doczekał radości:
w jasne południe, przed zebraną armią
sam Bonaparte czyn jego wynosił
i zaraz, by go trwalej uczcić, dał mu
pałeczki złote i w słoniowej kości
i zaświadczenie w laur obramowane.

I wszędzie dobosz, Arcole. W dziennikach,
w szkołach stawiany za wzory młodzieńcom
i jego imię za morza przesmyknie
zapanbrat między imiona świetniejsze.
Ci go malują: bębni, a wróg czmycha.
Inni znów o nim składają piosenki.

A później Mars go zaprosił na gody,
szaleje burza, grom po ziemi poszedł
od żółtych Tagów do północnych lodów:
rozsłoneczniwszy skrzydła, leciał Orzeł.
Cesarz! Olśnęły dokoła narody
i zapomniano o małym doboszu.

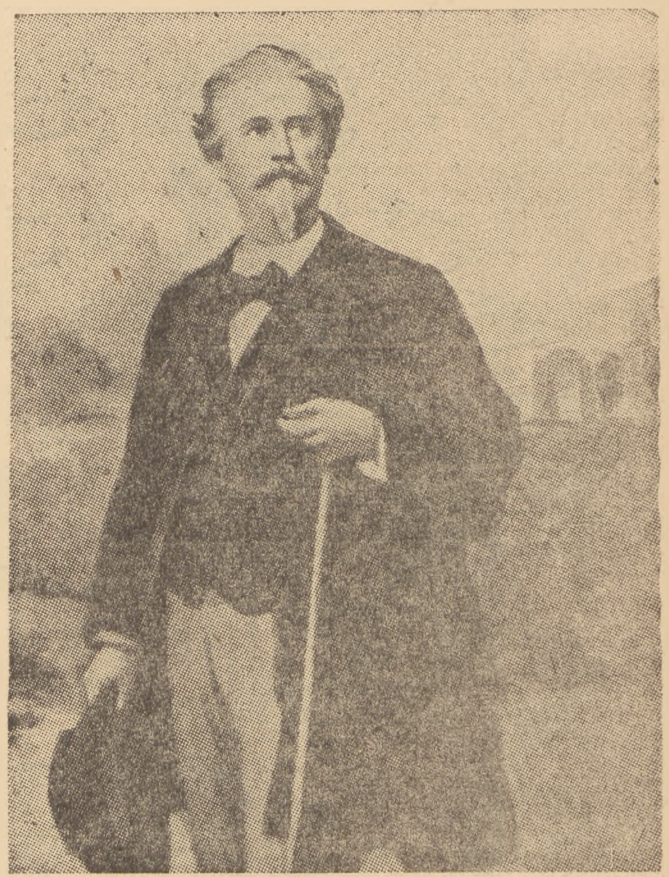
Później za Ren się przeprawiał i rzekł,
gdy nagle pyszne runęło Cesarstwo
(kto zbyt łakomy, zguby niedaleki),
przeżył maluczkich, przeżył królów świata.
Zwyczajny dobosz! Byś łupkę orzecha
w nurt rwący rzucił, co olbrzymy zmiata.

Otóż, po latach... Był maj. Więc się plątał,
tu i tam, dobosz wśród paryskich ulic,
zgarbiony, w bliznach, dziaduch siwowąsy
i myślał o młodości górnej, bujnej,
o roku osiemdziesiątym dziewiątym,
o wrzącej Republice, ścięciu króla,

o naszym Mirabeau z piorunem w ustach,
o Marsylczykach, jak w stolicę wpadli,
o wszystkich głośnych dziełach Rewolucji
i pod broń z jakim zapałem lud walił
i o Anglikach i Niemcach i wszystkich,
którym-śmy skórę bez wyboru prali,

o sobie wspomniał dobosz, jak to z ogniem
siekąc żołnierską pobudkę taraban,
budząc, Ojczyzno, orkan gniewów Twoich,
w znaku nas Twoim porwał do rozprawy
i dodał serca, a wrogowi odjął,
wzmagał w nas ducha, we wrogu osłabiał.

i o tym, jak się miłowania wyrzekł,
bo kraj rodzony kochał stokroć więcej,
i jak prowadził w boje towarzyszy,
jak oni zawsze rośli ze zwycięstwy:
choćby Massena, weźmy, rębacz z Niccy
i Lannes z Gaskonii miał mitrę książęcą,



Clément — Portret Mistrala

Frederi Mistral, jeden z największych katolickich poetów Francji, urodził się w r. 1830 w Maillane. Studiował w Auignonie i w Aix. Niebawem zbliżył się do ruchu odrodzeńczego literatury prowansalskiej. Zaczął pracować nad tym pokrzywdzonym językiem, który tak wspaniale rozwijał się w średniowieczu, a potem został zepchnięty do poziomu gwary. Stanął na czele ruchu prowansalskiego, któremu nadał nazwę Félibrige (Félibre znaczy niemowlę).

Najgłośniejszym poematem Mistrala jest Mirèio, opowieść o miłości na tle życia wsi prowansalskiej. Ten utwór obsypał go niezliczonymi zaszczytami. Inne jego dzieła to przede wszystkim: „Lis Isclo d'Or“ („Złote Wyspy“), zbiór wierszy, z którego pochodzi drukowana obok „Wieża w Barbentano“; „Nerto“, sielanka miłosna: „Calendau“, epopea fantastyczna i symboliczna; „Lou Rose“, poemat o Rodanie.

albo Bernadot został królem Szwedów,
kahorszczyk Murat — Neapolitanów,
wreszcie Bonapart, co im zipnąć nie da
i depcze ludy, ni winograd źrały.
Dopiero gdzieś, na szarym końcu, biedny
dobosz —na końcu! Sprawiedliwie, ano?

I o tym myślał, że starość nie radość,
razem z sieroctwem bieda mierzi życie,
że jemu krzywda, przytulisko za dom,
żebraczy ochłap na drewnianej misce.
— Na licha było gonić, — krzyknie raptem, —
pijaną sławę, ważyć za blichtr życie!

Trza było w porę wojaczki zaniechać
i siedzieć koło Durancy, w Kadene,
spokojniusieńko pole rydlem ciepać,
upatrzeć pannę, prędko się ożenić,
spłodzić, jak inni, dziatek na pociechę,
jak inni młodzi, żyć z Bogiem i swymi! —

Wezbrał rzewnością i łza w oku błysła
i wiarusowi po twarzy spłynęła
i z płaczem chodził z ulicy w ulicę
w ruchliwym tłumie Paryżan i zgiełku,
póki go zjawą nie spotka świetlistą
i zbolałego nie wstrzyma Panteon.

Miejsce pamiątek? W błękit, Matko Boska,
w trójkątnym fryzie, który nowy jeszcze
rzędem postaci pięknej rzeźby pną się
i wzdłuż nasłupia SWOIM WIELKIM—WDZIĘCZNA OJCZYZNA, czyta się złotymi głoski
wyryty napis! Ot, i los człowieczy.

— Głowa do góry, — ktoś mu w ucho woła.
— Poznajesz? Przyjrzyj się tylko, doboszu.
Łzy rozgniótł pięścią i na kościół, zwolna,
olśnione zwrócił starowina oczy.
A właśnie słońce szukało wieczora
i miastu zorzę pościeliło do snu.

I pożar chwycił duszę w bólu
gore Panteon kopułą czerwoną,
a z fryzu — nikt by nie uwierzył! bębniąc,
jako i wówczas, pobudkę do boju,
on, on, on, dzieciak, pod Arcole, z werblem,
przed szeregami, przy Napoleonie.

I pożar chwycił duszę w bólu skrzepłą,
szczęście i duma, że się tak wywyższył,
że jest nad burze i lata i wieki,
że w chwale, słońcu i niebiosom bliski.
Wtem zbladł. Krew słodko do serca uciekła
i runął martwy na kamienne płyty.

24 czerwca 1868

Przełożył z prowansalskiego Janusz Kawecki.

Zdzisław NAJDER

CZŁOWIEK —



rys. Feliks Topolski

„We wszystkich dziełach conradowskich dominuje motyw walki i ucieczki. Bohaterem Conrada nie jest morze, lecz właśnie człowiek, ścierający się w ustawicznej, odwiecznej walce z tym okrutnym zdradzieckim żywiołem... Sprawą człowieka o mężnym, nieustępliwym sercu jest stawić czoła naturze — oto wyznanie wiary Conrada i jego dostojna wobec życia postawa... Zawsze i wszędzie obchodzi go przede wszystkim człowiek, zawsze i wszędzie wpatrzony jest w straszliwe widowisko zmagań ludzkich w świecie, który pozbawił go wszystkich złudzeń".

John Galsworthy

Ciekawe są koleje i powody zainteresowania twórczością Conrada w Polsce. Można tu — z grubsza biorąc — wyróżnić dwie zasadnicze fazy. Pierwsza — którą poczyna informacyjna notatka „o Józefie Conradzie" w listopadowym numerze krakowskiego „Przegladu Literackiego", a kończy wybuch drugiej wojny światowej — to okres, w którym ośrodkiem zainteresowań i punktem zapalnym dyskusji jest zagadnienie narodowości autora „Lorda Jima". Mnożyły się ataki i oskarżenia wręcz o zdradę (jak list Orzeszkowej do Conrada czy artykuł Zuka-Skarszewskiego w „Kraju"), obrony, wyjaśnienia, przyczynki. Na łamach „Przegladu Współczesnego", „Wiadomości Literackich", efemerycznej „Kultury", „Drogi", „Ruchu Literackiego" i innych pism toczono zacięte boje o imię i polskość Conrada. Padło tam wiele ciekawych uwag, sporo wypłynęło cennych materiałów (por. Piotr Grzegorczyk „Joseph Conrad w Polsce", bibliografia, 1933 r.), — nie mało jednak zmarnowano czasu i sił na próżno. Co było cenne, starał się zebrać i wykorzystać Józef Ujejski w swej książce „O Konradzie Korzeniowskim", bardzo ciekawej, choć fragmentarycznej. Mimo wszystkiego, położenie głównego nacisku na „narodowościową" stronę problemu Conrada wyrządziło mu dużo szkody, budząc wśród szerszych warstw poczucie — do dziś żywe — niezdrowej sensacyjności, ułatwiając powierzchowność i jednostronność. A właśnie zdecydowana postawa artystyczna i moralna Conrada powinna znaleźć uwypuklenie w epoce zaniku kośćca ideowego u wielu pisarzy.

RENESANS CONRADA W POLSCE

Wojna zmieniła gruntownie ten stan rzeczy. Groza i zamęt okupacji, konieczność znalezienia trwalszej podpory duchowej wobec walenia się dawnych kryteriów, nakaz przeciwstawienia oszalałemu światu własnej, odrębnej osobowości, potrzeba zebrania sił do dalszej walki — oto powody wzmożonej popularności dzieł Conrada w czasie minionej wojny. Ucieczką od rzeczywistości były te książki, — ale jednocześnie mówiły o pojęciach tak aktualnych, jak honor, obowiązek, wierność, przyjaźń — w sposób wnikliwy a jednak prosty, — a przede wszystkim kazały szukać wewnątrz siebie, w „wierności samym sobie" ostoi i umocnienia. I nie kwestia — Polak czy Anglik, patriota czy zdrajca, ale zagadnienie — Conrad ideolog i moralista, Conrad artysta — stało się punktem centralnym zainteresowania.

Toteż pierwsza po wojnie praca o Conradzie — studium Kotta „O laickim tragizmie"1) była próbą krytyki — z marksistowskiego punktu widzenia — conradowskiego pojęcia honoru i postawy wobec życia. Essay Kotta jest w pełni zrozumiały właśnie na tle powojennej rzeczywistości, na tle wojennych „heroicznych doświadczeń", których ponure skutki tłumaczą gwałtowny, namiętny protest autora przeciwko bezcelowemu — jak go określa — heroizmowi bohaterów Conrada. Celem szkicu jest wykazać, że tragizm postaci conradowskich jest tragizmem bezsensownym, bohaterstwo — bohaterstwem szkodliwym, bo abstrahującym od interesów klasowych, którym mimowiednie służy. Przy całej pogardzie dla świata armatorów — kapitanowie Conrada narażają dla nich na śmierć siebie i załogę. Heroizm kapitana Mac Whirra — mówi autor — to „heroizm osła, ciągnącego wóz po podminowanym moście". A dalej: „Conradowska wierność samemu sobie jest wiernością niewolników, niewolnikiem jest bowiem ten, kto słucha pana, którym pogardza i troszczy się jedynie o swą wewnętrzną prawość".

SPÓR O MORALNOŚĆ CONRADA

Studium Kotta spotkało się z różnych stron z ostrą krytyką. Gołubiew2) wniósł poprawki dwojakiego rodzaju: sprostował, że powodem tragizmu postaci Conrada nie jest jakieś „fatum", lecz niespełnienie obowiązku, — sprowadzając tym samym problematykę na teren psychiki bohaterów; po drugie zaś zarzucił Kottowi zbytnią sztywność stosowanej przez niego metody. Tak więc np. nie ma racji autor essayu, gdy pisze, że wierność kapitanów Conrada, to wierność kapitalistycznym armatorom, — te same bowiem zagadnienia moralne (a one są najważniejsze) mogłyby stanąć przed kapitanami okrętów socjalistycznych (por. problem Lorda Jima).

Z większym artykułem wystąpiła znakomita pisarka, Maria Dąbrowska3). Tezom Kotta przeciwstawiła ona twierdzenie, że dzieło Conrada jest (prócz wielu innych rzeczy, które zawiera) artystyczną próbą dociecenia, czy i w jaki sposób możliwe jest dla człowieka ocalić śród niemoralnego świata „interesów materialnych" wierność czemuś istotnie moralnemu i wartościowemu". W ten sposób położyła główny nacisk nie na stwierdzającą, lecz na poszukującą stronę etyki Conrada. Autor „Jądra ciemności" był typem szczególnie uczulonym „na moralną wartość środków i metod ludzkiego postępowania". Nie można jednak zamykać oczu na bezlitosną krytykę świata i „interesów materialnych" — zwłaszcza polityki kolonialnej. Dąbrowska protestuje przeciw mianowaniu Conrada przez Kotta „ostatnim moralistą mieszczańskim". Etyka jego nie jest etyką konwencjonalną, ani etyką życia zorganizowanego.

Zasadniczą cechą moralności Conrada jest — według Dąbrowskiej — jej absolutna laickość. Mamy tu „jakby zasadniczy sceptycyzm co do gwarancji moralnych, jakimi mogłyby nas wesprzeć w chwilach najcięższej próby wyznawane dogmaty i doktryny". Różnica między systemami etycznymi opartymi na religii, ustroju społecznym czy normach prawnych, a etyką Conrada jest ta, „że jemu i jego ludziom owe kilka norm przyzwoitego ludzkiego postępowania muszą — nie podparte żadną doktryną i żadnym dogmatem — wystarczyć dla wytrzymania wszystkich pokus zdrady, muszą być dostatecznym bodźcem do postępowania nawet bohaterskiego i do przyjmowania rozwiązań nawet dla siebie tragicznych".

Na zarzut, że wierność honorowi jest u Conrada wiernością wobec armatorów odpowiada autorka twierdzeniem o autonomii wewnętrznej bohaterów conradowskich. Nie chodzi im o wierność kapitalistom, — lecz o wierność własnym, odrębnym ideałom. Nie znaczy to bynajmniej, by moralność Conrada była aspołeczna. Zdrada jest w jego książkach zawsze zdradą człowieka lub społeczności. A moralność zawodowa — stwierdza przy końcu Dąbrowska — nie jest czymś godnym potępienia, ani też „moralnością niewolników", lecz zasadniczym składnikiem moralności każdego człowieka pracy.

Artykuł Dąbrowskiej omawiam szerzej, ponieważ jest on — w przeciwieństwie do szkicu Kotta — trudno dziś dostępny. Autorka na ogół słusznie, choć nie zawsze wyraźnie (ale zawsze subtelnie) poprawia błędy Kotta. Najpoważniejszym z nich jest zawieszenie niejako w próżni całego systemu etycznego Conrada, bez wskazania na jego podstawy. Ze stanowiska marksistowskiego zaatakował tę wadę studium „O laickim tragizmie" prof. J. Chałasiński.4) Na łamach „Myśli Współczesnej" ukazała się jego bardzo ciekawa recenzja z „Mitologii i realizmu" — poświęcona niemal w całości sprawie Conrada. Krytyka idzie tu w dwu kierunkach: pierwszym jest zarzut błędnego traktowania przez Kotta dzieł Conrada na płaszczyźnie „przygody duchowej", oderwanie ich od podłoża realnej pracy. „Nie tylko konflikt pracy i kapitału cechuje tę epokę, lecz także rehabilitacja pracy wytwórczej jako wartości duchowej, nie tylko wolność — lecz i dyscyplina wewnętrzna, nie tylko zmaterializowanie życia — lecz i uduchowienie materii". Pisać o bohaterach Conrada, zapominając, że oni pracują — jest nieporozumieniem. Drugi kierunek — to zarzut ahistoryczności, a raczej historyczności fałszywej w studium Kotta. Chałasiński cytuje tu Dąbrowską, która pisze, że istnieje pewna ilość podstawowych norm postępowania, wytworzona w ciągu rozwoju ludzkości, niezależna od wszelkich systemów społecznych. „Należało by ostatecznie zwątpić o życiu i człowieku, gdyby wypadło nam się przekonać, że ludzkość w ciągu tylu wieków istnienia i wytężonej pracy duchowej nie wytworzyła kilku podstawowych norm postępowania uczciwego i prawowicie ludzkiego." Pomijanie tej drogi rozwojowej ludzkości jest poważnym błędem metodycznym — obok traktowania Conrada wyłącznie w płaszczyźnie klasowej, abstrahując od powikłań narodowościowych — twierdzi prof. Chałasiński. Toteż „likwidacja Conrada" jest tylko „osobistą przygodą duchową" autora „Mitologii i realizmu", a nie ogólnym wskaźnikiem. Niezaprzeczoną jego zasługą jest natomiast samo zdecydowane podjęcie tematu, ten więc okres zainteresowania Conradem w Polsce można by nazwać „okresem Kotta". Później, niestety, nurt ten słabnie (na łamach prasy oczywiście). Do omówienia pozostają trzy conradiana.

„WSPOMNIENIA" GALSWORTHY'EGO

„Wspomnienie o Conradzie" Galsworthy'ego5), cytowane już w książce Ujejskiego podała w całości (choć w anonimowym przekładzie) „Twórczość". „Wspomnienie" składa się z dwu części — biograficznej (Galsworthy był bliskim przyjacielem Conrada od czasu wspólnej podróży z Australii do Anglii na statku, na którym służył Conrad, t. zn, od r, 1893, i utrzymywał z nim stałą korespondencję) i krytycznej, gdzie autor „Sagi rodu Forsyte'ów" charakteryzuje właściwości talentu swego przyjaciela, jego stosunek do innych pisarzy, cechy jego osobowości. Wspomina o przedśmiertnej tęsknocie Conrada do Polski i kończy słowami: „Jeśli prawdą jest, że im większe zasługi człowieka, tym lepszy i dłuższy należy mu się wypoczynek, — Conrad powinien spać dobrze." Ogłoszenie tego artykułu ma duże znaczenie — tak z uwagi na liczbę zawartych w nim informacji, jak i ze względu na niewątpliwy autorytet Galsworthy'ego. Oryginalna jest jego klasyfikacja dzieł Conrada; uważa on, że twórczość wczesna („Szaleństwo Almayera", „Odszczepieniec", „Tajny agent", początkowe partie „Ocalenia") przewyższa znacznie dzieła późniejsze. Rzecz ciekawa, że nie wymienia on zupełnie „Lorda Jima" i „Murzyna z załogi Narcyza", uznanych ogólnie za najlepsze powieści Conrada. Zresztą popularność zyskał Conrad jedną ze słabszych powieści („Chance" — Traf 1914). Galsworthy podkreśla osobiste walory towarzyskie Conrada i jego humor. Pamięć miał świetną i nigdy nie robił notatek do swych dzieł.

Ciekawy przyczynek do stosunku Conrada do języka ojczystego dał prof. Wacław Borowy.6) Z analizy uwag, jakie poczynił Conrad na marginesie polskiego przekładu swej noweli wynika, że do ostatnich lat (uwagi były pisane w r. 1922) nie stracił on wyczucia odrębnych właściwości języka polskiego. Brak odczucia zbytniej „literackości" przekładu (Piwińskiego) można złożyć na karb faktu, że sam Conrad stykał się wówczas raczej z językiem polskim pisanym niż mówionym.

PROBLEM „KATOLICKOŚCI" CONRADA

Odrębną pozycję wśród conradianów powojennych zajmuje essay A. Gołubiewa7) o katolickości Conrada. Autor „Bolesława Chrobrego" jest gorącym wielbicielem twórczości Korzeniowskiego, czemu dawał niejednokrotnie wyraz (por. „Tygodnik Powszechny" Nr 281).

Studium „Katolickość Conrada", choć nie najszczęśliwiej zbudowane, jest niezmiernie wnikliwe i oryginalne. Temat — bardzo trudny i śliski. Conrad nie był sympatykiem — oficjalnym — jakiejkolwiek religii, szczególnie chrześcijaństwa, co wykazuje na podstawie cytatów z listów Ujejski. Wystarczy zresztą spojrzeć na postacie duchownych, czy też wprost wierzących w książkach autora „Nostromo". Można tedy mówić o katolickości mimowiednej (jak w „Fauście" Goethego). Gołubiew wykazuje, jak Conrad, szukając tego, „co jest podstawowe„ co jest trwałe i zasadnicze", starając się „wymierzyć sprawiedliwość widzialnemu światu" dochodził do rozwiązań bliskich katolicyzmowi; zwłaszcza w swoim pojeciu i hierarchii miłości. I fakt, że tragizm Conrada nie jest tragizmem rozpaczy, tłumaczy się tym właśnie, że owo tajemnicze „jądro wszechrzeczy" Conrad przeczuwał, nie znając i nie nazywając go. Istotą katolickości dzieł Conrada jest ich głębia — pisze Gołubiew. „Głębia ta spowodowała, że mimo błąkania się jakże często docierał on właśnie do rdzenia wszelkich zjawisk, jakże często dostrzegał prawdę, choć jego własny komentarz był nieraz błędny... „Katolickością" dzieła sztuki jest nie problematyka i nie szyld, i nie zgodność z naszymi nawykami czy upodobaniami, i nie tendencja, i nie sformułowane na marginesie credo, i nie światopoglądowe dyskusje czy pobożne aforyzmy, lecz wizja świata, polegająca na widzeniu istniejącej rzeczywistości i to w jej najgłębszych, niedostrzegalnych na pierwszy rzut oka perspektywach".

Gołubiew ma niewątpliwie rację, — choć skrępowany był — co sam zaznacza — tytułem szkicu, ustalonym przez redakcję. Tytuł ten powinien brzmieć (jak proponuje autor) „Tragiczność Conrada", lub (jak proponuję) „O pseudolaicyzmie Conrada". Bo laicyzm Korzeniowskiego jest mimo wszystkiego pozorny. Jest to laicyzm formalny tylko: laicyzm dróg— nie celu, kierunku — nie osiągnięć. Szkoda, że Gołubiew nie wziął pod uwagę artykułu Dąbrowskiej. Czy zbieżność między owymi „wypracowanymi przez ludzkość normami moralnymi" a ogólnymi zasadami katolicyzmu nie jest zastanawiająca?

Conrad czeka na swego monografistę — rodaka. Dotkliwego braku takiej pracy nie może zaspokoić ani szkicowa książka Ujejskiego, ani — skądinąd bardzo ciekawe, ale trudno dostępne i wydane w języku angielskim, wspomnienie J. H. Retingera8). Dwudziesta piąta rocznica śmierci pisarza przeminęła bez echa. Trzeba by zebrać rozsypane materiały biograficzne (jak dotąd, najobszerniejszym źródłem jest G. Jean-Aubry „Joseph Conrad, Life and Letters", Heinemann, London, 2 vol.), listy (wiele listów polskich dostępnych jest wyłącznie w tłumaczeniu angielskim), opracować drogę rozwoju Conrada-artysty, przeprowadzić analizę dzieł, zbadać wpływ wywarty przez Conrada, jego popularność, omówić tłumaczenia, poruszyć wiele innych problemów. Nie mniej pilną potrzebą jest reedycja przełożonych i przekład nietłumaczonych dotąd dzieł Conrada. Na tym odcinku poczyniono już po wojnie pewne kroki — ukazało się ogółem sześć tomów wznowień i jeden wydany po raz pierwszy.

POWIEŚCI O SPRAWACH LUDZKICH

„Człowiek — walka — ucieczka" w taką syntezę ująć można główne problemy twórczości Conrada. Nie tyle piewcą morza i okrętów, które szanował i wielbił, — ile raczej piewcą i surowym sędzią ludzkich walk i załamań był Conrad. „Okręty są zawsze w porządku; to tylko ludzie na nich..." pisał w „Zwierciadle morza". A w innym miejscu: „I patrzyłem na morze prawdziwe — morze, które igra z ludźmi, póki z nich sił nie wypije, i zadręcza statki na śmierć. Nic nie jest w stanie wzruszyć posępnej goryczy jego ducha. Otwarte dla wszystkich i nie dochowujące wierności nikomu, roztacza swój czar na zgubę najlepszych. Niedobrze jest je kochać. Nie zna więzów danego słowa, nie dotrzymuje wiary w nieszczęściu, nie sprzyja długoletniej zażyłości, długoletniemu oddaniu..." Krzywdzące jest dla Conrada określenie „marynisty". Wspaniałe opisy morza nie są u niego celem — tylko śordkiem.

Pierwszymi książkami Conrada wydanymi po wojnie były „Korsarz"9) i „Tajfun"10). Wyszły na świat bez daty i niezbyt starannie przygotowane (zwłaszcza „Tajfun", w którym aż roi się od skandalicznych błędów korekty). Ich przeciwieństwem (z uwagi na szatę graficzną) jest „Złota strzała"11), poprzedzona interesującą przedmową Jana Parandowskiego. Ukazała się na doskonałym papierze, z fotografią autora, w starannym tłumaczeniu i korekcie. Przedmowa Parandowskiego, zawierająca mnóstwo ciekawych uwag i informacji, należy do najlepszych kart, jakie w Polsce Conradowi poświęcono.

Wreszcie w końcu roku ubiegłego i na początku bieżącego ukazały się nakładem P. I. W.-u kolejno: „Lord

---

1) Jan Kott „O laickim tragizmie", Twórczość, II, 1945 i rozszerzona w tomie „Mitologia i realizm", Kraków 1946, str. 167.

2) Antoni Gołubiew: „Poprawiam Kotta", „Dziś i Jutro" Nr 3, 1945 r.

3) Maria Dąbrowska: „Conradowskie pojęcie wierności", „Warszawa" Nr 1, 1946 r.

4) „Myśl Współczesna", październik 1946, str. 96.

5) John Galsworthy: „Wspomnienie o Conradzie", „Twórczość", I — 1947 r.

6) Wacław Borowy: „J. Conrad sędzią polskiego przekładu swojej noweli „Il Conte", sprawozdania P.A.U., Kraków, lipiec — wrzesień 1947 r.

7) Antoni Gołubiew: „Katolickość Conrada", „Znak", Nr 6, 1948 r.

8) „Conrad and His Contemporaries" by Joseph Retinger, illustrated by Feliks Topolski, Roy Publishers, New York 1943.

9) Joseph Conrad: „Korsarz. 10) „Tajfun", tłum. J. B. Rychliński, Bibl. Polska i St. Jamiołkowski i T. J. Evert. str. 308 i str. 143 (1947).

11) Joseph Conrad „Złota strzała", Poziom, Kraków, 1948, tł. Aniela Zagórska, Jadwiga Korniłłowiczowa i Karola Zagórska, str. 367.

WALKA — UCIECZKA

Jim“12), „Zwierciadło morza“13) i „Smuga cienia“14) — w dobrych przekładach i starannie wydane.

„LORD JIM“

Chronologicznie najwcześniejszą z wydanych powieści jest „Lord Jim“ — jeden z głównych filarów sławy Conrada, pisany w latach 1898 — 1900. Kiedy myślę o Conradzie, nasuwa mi się natychmiast jako najbardziej typowy i reprezentatywny utwór — właśnie „Lord Jim“. Chciałbym się ustrzec od wszelkiego upraszczającego schematyzmu, — lecz wydaje mi się, że podstawowy kierunek docieklliwej twórczości Conrada: badanie człowieka i jego walki, oświetlanie ucieczek i załamań, szukanie tego, co podstawowe w świecie — czego mamy się trzymać i co mamy za wszelką cenę ocalić, — ten nurt występuje — w „Lordzie Jimie“ niezmiernie wyraźnie. A obok tego swoisty conradowski romantyzm — tak odmienny od romantyzmu „Złotej strzały“ — romantyzm honoru. To świadczy o treściowej reprezentatywności. Artystyczna reprezentatywność także nie nastręcza wątpliwości: — „Lord Jim“ jest wprawdzie najbardziej chyba „nieprawidłowo“ zbudowaną powieścią Conrada, ale ta „nieprawidłowość“ dawno przestała uchodzić za wadę. Gra ona rolę dodatnią: zmienny tok opowieści komplikuje i urozmaica nasze przeżycia; różnolitość metod jest tu środkiem nie do osiągnięcia oryginalności, lecz do wzbogacenia i zaostrzenia spojrzeń czytelnika. Ginie efekt płynnej ciągłości — ale ileż innych wartości przybywa. (Ta sprawa wymagałaby osobnego opracowania — por. St. Ossowski: „U podstaw estetyki“, str. 147). Wielostronność tej książki, możność robienia na niej obserwacji z najrozmaitszych punktów widzenia jest olbrzymia. Rozłożenie treści nasuwa porównanie z tragedią klasyczną. Tragiczność — ale nie pesymistyczna — kojarzy się z antyczną katharsis, czy z owym schillerowskim losem „welches den Menschen erhebt, wenn es den Menschen zermalmt“ — który człowieka podnosi, kiedy go druzgoce. Wielość wątków pobocznych łączy się z podziwu godną rozmaitością i odrębnością psychologiczną postaci, choćby epizodycznych. Stary kupiec — kolekcjoner motyli, pogrobowiec romantyzmu — Stein, niezapomniany porucznik francuskiej kanonierki, która holowała „Patnę“ („Ale honor — honor, proszę pana... Honor... To — to jest rzeczywiste, to — to naprawdę istnieje...“), którym zachwycał się już Żeromski, dalej tajemniczy kapitan Brierly; Cornelius — człowiek-szczur; awanturnik — jeden z tych „nieoswojonych“ — Brown; posągowy Doramin; — wszyscy rysują się wyraźnie, są realni.

Wydaje się też, że właśnie „Lord Jim“ stanowiłby również najciekawsze pole do badań nad tak swoistym a zmiennym stylem Conrada. Na całej książce znać pasję pisarską, żywość — aż bolesną — wczuwanie się w pisanie. — „Jestem ciągle przy Jimie. W lutym było okropnie. Byłem stary i chory i w długach — lecz później odkryłem, że mogę jeszcze pisać. Ono przyszło, ono przyszło i jestem młody i zdrowy i bogaty“ — tak pisze w jednym z listów do Garnetta. Conrad długo nie mógł dokończyć „Lorda Jima“. Wyznaczone terminy mijały — zamierzone opowiadanie rozrosło się w książkę, końca nie było widać. W liście do Galsworthy'ego (z 20.VII.1900) tak opisuje autor ukończenie książki:

„L. J. został dociągnięty do końca nieprzerwaną orką 21 godz. Wysłałem żonę i dzieci z domu (do Londynu) i usiadłem o 9-ej rano z desperackim postanowieniem skończenia z tym. Od czasu do czasu obchodziłem dom dookoła, wychodząc jednymi drzwiami i wchodząc drugimi. Dziesięciominutowe posiłki. Wielka cisza. Papierosy kończyły się rosnąc w kopiec podobny do kurhanu zmarłego bohatera. Księżyc wszedł nad stodołą, zajrzał w okno i wspiął się ponad pole widzenia. Jaśniejąc wstawał świt. Zgasiłem lampę i pisałem dalej, z porannym wietrzykiem rozrzucającym kartki rękopisu po całym pokoju. Słońce wzeszło. Napisałem ostatnie słowo i wyszedłem do jadalni...“.

Główny problem „Lorda Jima“, problem utraty honoru w ucieczce przed niebezpieczeństwem, — czy też, jak to określa Jim — problem braku przygotowania w odpowiedniej chwili, — próbowano wyjaśnić jako odzwierciedlenie stosunku Conrada do Polski. G. Morf w książce „The Polish Heritage of Joseph Conrad“ dowodzi wprost, że „Patna“ — to Polska, Patusan — to Anglia etc. — niestety książka ta jest w Polsce niedostępna, a jej tezy na odległość wydają się mocno naciągnięte. Nie da się dziś sprawdzić, czy Conrad myślał o sobie opisując tragiczny skok Jima z pokładu uszkodzonego okrętu, — choć jest możliwe, że takie porównanie mu się nasunęło. Zresztą dla zrozumienia książki rozwiązanie tej zagadki jest bez znaczenia. Odwrotnie — nie należy starać się o zbyt skrupulatne sprecyzowanie treści ideowej „Lorda Jima“. Formułki, zatrzymując życie, zabijają. Także drobiazgowe rozplątywanie zagadek psychiki Jima nie wydaje się celowe. Tym bardziej, że nie był on — rzecz pewna — typem intelektualnym. Poetyczność i „romantyzm“ tej postaci bije w oczy (zważmy choćby na styl jego wypowiedzi). Błędem jest chęć zrozumienia Jima lepiej, niż go rozumiał autor; — choć zasady moralne Conrada są proste, to motywację postępowania bohaterów kryje on często za mgłą. Dzięki temu tak wielu ludzi może odnaleźć w jego książkach siebie samych.

„TAJFUN“

Drugim chronologicznie utworem jest „Tajfun“, który ukazał się w r. 1903 wraz z „Falkiem“ i „Amy Foster“. Postać bohatera — nie zmieniając nawet jego nazwiska — Conrad wziął z życia. John Mc. Whirr był dowódcą statku „Highland Forest“, na którym Conrad służył przez parę miesięcy w r. 1887. „Tajfun“ należy do najbardziej znanych i pozornie najłatwiejszych utworów Conrada. Ta pozorna łatwość zwiodła m. in. J. Kotta w jego szkicu. Postać kapitana Ms. Whirra, bohatera niewiedzącego o własnym bohaterstwie, jest dokładnie zrozumiała dopiero na tle Lorda Jima. Kapitan Mc. Whirr — to nie marzyciel, jak Jim, — ale „gotowy w każdej chwili“, posiadający — przy braku wyobraźni — ten walor, jakiego zabrakło w odpowiedniej chwili Jimowi. Jego heroizm przypomina nam owego porucznika francuskiej kanonierki z „Lorda Jima“; Kott pisze, że jest to heroizm osła (cyt. wyżej); — odpowiem cytatem z Timofiejewa: „Porównywać utwór z rzeczywistością można jedynie wychodząc z tych założeń, które są zawarte w dziele, a nie na podstawie bezpośredniego porównania szczegółów dzieła ze szczegółami życiowymi“ („Osnowy teorii literatury“, str. 41 cyt. za A. Sandauerem). Obowiązek został spełniony, bohater nie cofnął się przed niebezpieczeństwem i może dlatego koniec jest — jak rzadko u Conrada — formalnie szczęśliwy. Ale heroizm kapitana Mc. Whirra pozostanie nieznany, — nawet dla rodziny.

„ZWIERCIADŁO MORZA“

„Zwierciadło morza“ — zbiór szkiców o morzu, okrętach i ludziach morza i okrętów stanowi doskonałe wprowadzenie w twórczość Conrada. Zauważył to już Żeromski (w przedmowie do „Almayera“ w wydaniu przedwojennym); ostatnio podobne zdanie wypowiedział — choć opierając się na zupełnie innych przesłankach — Gołubiew. „Zwierciadło“ jest książką niezmiernie osobistą: wypowiedział w niej Conrad wprost swój szacunek i podziw dla mórz, wiatrów i oceanów, miłość do statków, uwielbienie dla marynarzy, pogardę dla szczurów lądowych, niechęć do ciasnoty portów, wreszcie namiętną pochwałę żaglowców — okrętów przeszłości, na których dokonano największych czynów marynarskich. „Usiłowałem tu odsłonić z bezpośredniością ostatniej spowiedzi, jaki był mój związek z morzem, który zaczął się tajemniczo, jak każda wielka namiętność zesłana na śmiertelnych przez niezbadanych bogów, rozwijał się nieodparcie wbrew zasadom zdrowego rozsądku, wytrzymując próbę straconych złudzeń i przezwyciężając rozczarowanie, co się czai w każdym dniu czynnego życia; trwał dalej wśród miłosnych rozkoszy i miłosnych mąk, pełen uniesienia, lecz próżen złudzeń, bez goryczy i bez skarg, od pierwszej chwili aż do ostatniej“.

Dlatego właśnie ta książka — spowiedź jest najlepszym wprowadzeniem w twórczość Conrada, choć nie może, oczywiście, dać choćby ogólnego pojęcia o jej całości. Ostatni rozdział jest peanem pochwalnym na cześć lorda Nelsona i przybranej ojczyzny Conrada.

„SMUGA CIENIA“

„Smuga cienia“ ukazała się w roku 1917. Jest to pierwsza książka, którą Conrad napisał po sukcesie „Chance“ i wydobyciu się z ciągłych tarapatów finansowych, a oparta dość ściśle (jak wyznaje Conrad w liście do S. Colvina) na materiale autobiograficznym. Z wielką wnikliwością psychologiczną przedstawia tu autor okres kryzysu młodości, — okres, gdy kończy się młodzieńczy, entuzjastyczny i otwarty stosunek do życia, a zaczyna się wiek męskiej odpowiedzialności. Przebycie „smugi cienia“ między tymi fazami życia nie jest łatwe, ale bohater ma szczęście pod tym względem. Oczywiście nie z uwagi na awans, ale dlatego, że zostaje postawione przed nim zadanie, które sam, w pełnym poczuciu odpowiedzialności musi wykonać. Jak subtelnie odmalowane są poszczególne stany psychiczne bohatera, o tym świadczyć może choćby porównanie trzech opisów drogi, jaką odbywa on z kapitanatu portu do pensjonatu: — każdy jest zasadniczo inny, zależnie od zmienionego nastroju. O „Smudze cienia“ pisał bardzo ciekawie Goa w jednym ze spotkań literackich w „Tygodniku Powszechnym“. Ostatnio podał on także interesujący projekt „rozkładu jazdy po Conradzie“. Radzi on zacząć od „Zwierciadła morza“ — bardzo słusznie, ale nie dlatego, by w tej książce były same tylko karty „wielkiej ciszy“ (a mnóstwo opowiadań? a „Tremolino“?). „Wielka cisza“ to w ogóle pojęcie względne i wydaje mi się niesłuszne nadawanie miana „cichych“ książkom Conrada, tak pełnym napięcia, walk, załamań i zwycięstw, — co prawda głównie psychicznych. Nie spokój, ale walka jest żywiołem Conrada, a że ta walka odbywa się często w fizycznej ciszy, to chyba nie ma wielkiego znaczenia.



rys. Feliks Topolski

„ZŁOTA STRZAŁA“

Utworem wydanym po raz pierwszy w tłumaczeniu polskim jest „Złota strzała“. Oparta ściśle na materiale autobiograficznym ukazała się w r. 1919. Co do tytułu — Conrad wahał się długo. „To będzie podobnie jak ze „Zwycięstwem“ — pisał w liście do S. A. Everitta. — Nie mogłem trafić na ten tytuł do samego końca — i ów wyraz był najostatniejszym napisanym w rękopisie. Myślałem przed tym o wielu tytułach, lecz bardzo jestem zadowolony z wyczekania na to, co, nie może Pan zaprzeczyć, było prawdziwym natchnieniem. Tak jest i w tym wypadku. Mnóstwo tytułów przychodziło mi na myśl (w moich głupich momentach — których było trochę), ale żaden z nich nie dał mi uczucia odpowiedniości. Jeśli by to miała być książka po francusku, zdaje mi się, że chciałbym ją nazwać „L'Amie du Roi“ (Przyjaciółka króla), lecz po angielsku (The Friend of the King) rodzaj nie jest zaznaczony przez wyraz, nie mogę więc tego zrobić. Ludzie będą zapewne myśleli o przyjacielu z wielką brodą, a to będzie wielkim błędem. Tytuł „The Goatherd“ (pasterz, pasterka), który także byłby możliwy, odpada z tegoż powodu. Oba wprowadzałyby nieco w błąd, ponieważ związek opowieści zarówno z kozami, jak i z królami jest bardzo nikły. „Dwie siostry“ byłby tytułem znacznie bliżej odnoszącym się do faktów, lecz nie podoba mi się. Jest zbyt skrupulatny, a także zbyt banalny. Z drugiej strony „Mme de Lastaola“ jest obcy w brzmieniu, poza tym wygląda pretensjonalnie. „Spadkobierczyni“ (The Heiress) — jest najbliższy rzeczywistości, byłby najbardziej mamiącym ze wszystkich. Jest także bardzo nieobrazowy i głupi. Musimy czekać na tytuł, aż sam przyjdzie.“ Ten, który przyszedł pasuje do romantycznej atmosfery książki najlepiej. „Złota strzała“ nie należy z pewnością do szczytowych osiągnięć pisarza, ale zawiera najlepiej zarysowaną postać kobiecą wśród wszystkich dzieł Conrada. Dzieje pierwszej swej odwzajemnionej miłości opisał autor „Ocalenia“ tak dyskretnie i tyle w to włożył trafnej obserwacji psychologicznej, że jak stwierdza Ujejski, książka ta mogłaby być czytana nawet w klasztorze.

„KORSARZ“

Wydaje mi się, że „Korsarz“ należy do najprostszych utworów Conrada — takich, które czytać i rozumieć mogą wszyscy. Postać starego korsarza Peyrola, który bierze na siebie obowiązek śmierci, by ocalić szczęście dwojga młodych — wzruszy na pewno każdego. Ciekawą rzeczą jest, że Peyrol ma wspólny prototyp z Dominikiem ze „Złotej strzały“ (tak jak zresztą i Nostromo, Tom Lingard i Attilie z „Suspense“). Z „Korsarzem“ wiąże się jeszcze jedno „conradianum“, — z terenu literatury pięknej. Jest to zawarta w tomie „Godzina śródziemnomorska“ Parandowskiego15) piękna opowieść o rozmowie, toczonej między Conradem a jedną ze stworzonych przez niego postaci, Peyrolem. Tematem rozmowy jest miłość ojczyzny. Peyrol — korsarz i rozbójnik, nie wahający się jednak u schyłku swych lat oddać życia za ojczyznę, której prawie nie znał, — miał prawo robić wyrzuty samemu twórcy. Opowieść powstała wiosną roku 1942, nosi tytuł — jak cały tom — „Godzina śródziemnomorska“. „Biła swym nieporównanym dźwiękiem w dobie najcięższej zmory wojennej — pisze o niej autor — wywołując wspomnienia, wabiąc widma, budząc głos od lat poniechanych autorów“. Czyż może być większa pochwała dla pisarza niż to, że stał się bohaterem takiej godziny?

Zdzisław Najder

12) Joseph Conrad „Lord Jim“, przeł. Aniela Zagórska. P. I. W. 1949, t. I, str. 268, t. II, str. 198.

13) „Zwierciadło morza“, przeł. Aniela Zagórska, P. L. W., str. 221 + 2 nlb.

14) „Smuga cienia“, przeł. J. Sienkiewiczówna, P. I. W. 1950, str. 162.

15) Jan Parandowski: „Godzina śródziemnomorska“, Gebethner i Wolff, Warszawa 1949, str. 238 + 3 nlb.

RUCH WYDAWNICZY

Nowe wydanie dzieł J. I. Kraszewskiego

Od czasu wybuchu drugiej wojny światowej Józef Ignacy Kraszewski stał się najbardziej poczytnym z naszych pisarzy klasyków.

Świadczą o tym choćby tylko liczne wznowienia tych samych dzieł jednocześnie przez kilka firm wydawniczych np. *Starosta Warszawski*, czy *„Historia o Januszu Korczaku i pięknej Miecznikównie“*.

Trzeba sobie jednak powiedzieć, że z olbrzymiej twórczości J. I. Kraszewskiego — liczącej około 600 tomów wydawano najczęściej jedne i te same powieści, zwykle wchodzące w zakres lektury szkolnej lub cykl powieści historycznych z dziejów Polski, które jednak nie mogły dać pełnej charakterystyki wielkiego talentu i twórczości znakomitego pisarza.

W 60-tą rocznicę śmierci wielkiego pisarza wydawnictwo Wł. Bąka zainicjowało nową wzorową edycję powieści p. t. *„Kraszewski na nowo odczytany“*, w opracowaniu K. W. Zawodzińskiego, niedawno zmarłego świetnego krytyka literackiego. Były to powieści „zapomniane, niekiedy przemilczane za życia pisarza lub oddawna niewznawiane, a przecież aktualne artystycznie albo społecznie dla dzisiejszego pokolenia“.

W pierwszej serii znalazły się powieści: *„Szalona“*, *„Czarcia mogiła“*, *„Papiery po Glince“*, *„Ostatnie chwile księcia wojewody“*.

Z powieści historycznych i obyczajowych wyszły: *„Krzyżacy“*, *„Kunigas“*, *„Zygmuntowskie czasy“*, *„Historia o Januszu Korczaku i pięknej miecznikównie“*.

Trzeba powiedzieć, że była to wzorowa edycja, zaopatrzona w obszerne wstępy, komentarze i objaśnienia, drukowana na białym trwałym papierze.

Ostatnio doniosłe dzieło upowszechnienia dzieł zasłużonego pisarza prowadzą dwie spółdzielnie: *„Czytelnik“* i *„Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza“* — ta ostatnia powstała z połączenia spółdzielni *„Chłopski Świat“* i *„Wydawnictwo Ludowe“*.

„Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza“ uprzystępnia nam wielki cykl powieści historycznych, które w zamierzeniu znakomitego pisarza miały objąć całą historię Polski. Jednak zamiar powziął pod koniec swojego pracowitego żywota. Zdążył napisać z tego cyklu 29 powieści, w 76 tomach. Były one już wielekroć wznawiane w różnych latach po śmierci pisarza, cieszyły się wielką poczytnością, zwłaszcza w środowisku chłopskim.

Kraszewski oparł te powieści na ogromnym materiale historycznym, zdobytym w długich studiach naukowych.

Cykl ten rozpoczyna znana powszechnie powieść *„Stara Baśń“* z czasów zamierzchłych naszego państwa, ostatnio wznowiona przez „Czytelnika“, dalej powieść z X wieku *„Lubonie“*, z czasów króla Mieszka, następnie *„Bracia Zmartwychwstańcy“*, w której Kraszewski odtworzył epokę Bolesława Chrobrego, *„Masław“* powieść przedstawiająca okres anarchii po śmierci Mieszka II-go, *„Boleszczyce“*, powieść z czasów Bolesława Śmiałego, *„Syn Jazona“*, powieść historyczna z czasów Bolesława Wstydliwego i Leszka Czarnego, *„Królewscy Synowie“*, powieść osnuta na tle czasów króla Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, *„Kraków za Łoktka“*, powieść, której treść stanowi zwycięska walka króla Władysława Łokietka z zaborczym zakonem krzyżackim, *„Król Chłopków“*, powieść z czasów panowania króla Kazimierza Wielkiego i *„Banita“*, powieść obejmująca czasy Stefana Batorego.

Stanisław Podlewski

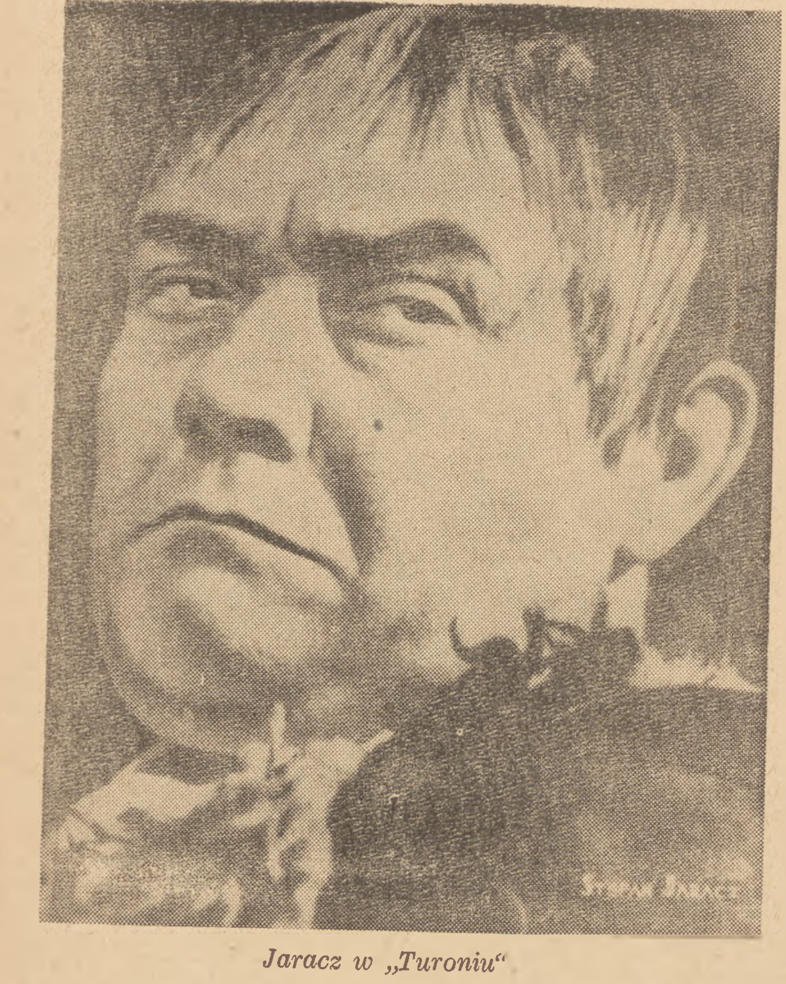
Współpracownik „Dziś i Jutro“ poszukuje pokoju w Warszawie lub okolicy. Zgłoszenia: Redakcja, Mokotowska 43 — I p.

SPROSTOWANIE.

W numerze 37(251) w tłumaczeniu noweli Greena p. t. „Koniec Zabawy“, chochlik drukarski był widocznie w szczególnie ponurym nastroju, bo nie podobało mu się w szpalcie 4, na kolumnie 6, w wierszu 22 od dołu słowo „żartobliwie“, które zgodnie ze swoim humorem, ale niezgodnie z tekstem oryginału i tłumaczenia zmienił na „żałobnie“. Co niniejszym prostujemy.

Roman KOŁONIECKI

NA DRODZE



Jaracz w „Turoniu“

OBCHODY ku czci Stefana Jaracza w Warszawie, Krakowie i innych miastach Polski zbiegły się — co prawda, nie według ścisłych danych kalendarzowych — z piątą rocznica jego śmierci (11 sierpnia 1945 r.). W tej bezpowrotnej epoce, gdy teatry prowadzone iście po sobiepańsku, na modłę lichych prywatnych folwarczków — wrzesień w ich sezonowej gospodarce był zazwyczaj miesiącem „jesiennych porządków“ i pompatycznych premier inauguracyjnych — rzadkich świątecznych dni życia teatralnego. Utrzymując się na poły w rytmie owych nawyków przedwojennych, można by powiedzieć, że tegoroczny swój sezon teatry warszawskie otworzyły akademią ku czci Jaracza.

Uroczystość ta stała się wielkim chociaż żałobnym świętem. Raz jeszcze uprzytomniła nam ona i wyryła w pamięci, że historia teatru polskiego ostatniego półwiecza ukazuje w Jaraczu postać jedną z najwybitniejszych, postać miary niepospolitej; dlatego też śmierć Jaracza stanowi dla sztuki polskiej stratę po prostu niepowetowaną. W osobie Jaracza zeszła do grobu nie tylko wielka i płodna indywidualność artystyczna, ale zarazem nieporównany, niewiarogodnie wnikliwy znawca sztuki aktorskiej, a także szermierz pewnej idei — pewnej koncepcji teatru, która w Polsce Ludowej nabrała jak najżywszej aktualności, bo wiąże się harmonijnie z kierunkiem dzisiejszych przemian społecznych i kulturalnych.

Jako aktor niewielu miał Jaracz poprzedników, a jak dotychczas nie znalazł jeszcze godnych siebie następców. Aktorstwo Jaracza było zjawiskiem jedynym i niepowtarzalnym, samorodnym i nie do naśladowania. Nikt w Polsce go nie prześcignął i nawet nie będzie chyba przesadą twierdzenie, że mało kto w Europie mu dorównywał. Jaracz wcielał w sobie ten idealny typ aktora, który wytworzył się, udoskonalił i rozpowszechnił w Związku Radzieckim — typ artysty ludowego, którego talent obnaża w całej pełni i okazałości własny swój rodowód socjalny, jest z podłożem socjalnym na stałe, i rdzennie związany, z niego czerpie wszystkie siły żywotne, wszystkie elementy artystyczne, zestrojone wskutek tego w zadziwiająco zgodną, organiczną całość.

Dla zdefiniowania jego indywidualności jest to tym ważniejsze, że — jak sam wielokrotnie z naciskiem podkreślał — instrumentem sztuki aktorskiej jest właśnie c z ł o w i e k jako osoba fizyczna i świadomość socjalna; umyślnie pomijam tu pojęcie: świadomość klasowa — gdyż w Jaraczu działał raczej jakiś pierworodny instynkt klasowy czy też — że użyję poetyczniejszego omówienia — wiedza socjologiczna, wszczepiona jak gdyby w krew. Doświadczenia życia pozwoliły Jaraczowi poznać nawskroś blaski i nędze aktorstwa, wszystkie mozoły i wzniosłe radości tego zawodu; pozwoliły mu przewertować do końca księgę praw i obowiązków obywatelskich aktora. Wiedział, ile wspólnego ma aktorstwo ze sztuką artystów słowa czy artystów dźwięku i czym się od niej różni; zdawał sobie sprawę, w czym ją przewyższa i w czym jej ustępuje.

Przywołajmy sobie przed oczy, choćby na wyrywki, długi korowód stworzonych przez Jaracza postaci scenicznych: rolę tytułową w „Judaszu“ Tetmajera i Szeli w „Turoniu“ Żeromskiego (pierwsze lata istnienia Reduty); rolę Smugonia w „Uciekła mi przepióreczka...“ Żeromskiego (Teatr Narodowy); rolę tytułową w „Kapitanie z Koepenick“ — niemieckim odpowiedniku „Rewizora“, rolę tytułowa w „Chorym z urojenia“, Napoleona w „Madame Sans - Gene“ i nieprzeliczony poczet ról innych granych w ostatnim dziesięcioleciu przedwojennym na deskach Teatru Ateneum... Nie ufając cudzym obserwacjom i rozbieżnym sądom, lecz odwołując się jedynie do własnych wrażeń i wspomnień, mozaikowym systemem od dawna układam sobie w wyobraźni sylwetkę Jaracza-aktora. W kunszcie jego znamię mistrzowskiej precyzji intelektualnej i zmysł drobiazgowej analizy psychologicznej, właściwy artyzmowi Kazimierza Kamińskiego, kojarzył się z wybuchowym temperamentem i bezpośredniością uczuciową Mieczysława Frenkla. Cała wrodzona chłopska mądrość i cała „kwardość“ chłopskiej natury kształtowała wszystkie jego kreacje aktorskie, ujawniała się w najdrobniejszych nawet środkach ekspresji; praca w teatrze Stanisławskiego utrwaliła w nim te realne, autentyczne składniki tworzywa artystycznego, nadając im proporcje najdoskonalsze i ostateczne.

Koncepcja teatru, jakiej Stefan Jaracz dozgonnie hołdował, opierała się na założeniu, że teatr spełnia zawsze pewną określoną funkcję społeczną i służy pewnej określonej ideologii. Nie powinien być jednak prywatnym przedsiębiorstwem (dostarczającym rozrywki drobnomieszczaństwu, ani salą licytacyjną najprzeróżniejszych snobizmów elitarnych, ani też kapliczką „sztuki dla sztuki“. Teatr, zdaniem Jaracza, to trybuna proletariatu, oręż w jego walce o wyzwolenie, źródło jego samowiedzy i potęgi; musi to więc być teatr, służący tylko temu posłannictwu i przeznaczony dla najszerszych mas. Ta koncepcja teatru nosi wyraźne cechy klasowe i rewolucyjne, choć może Jaracz niezupełnie zdawał sobie z tego sprawę.

Zapewne, od tej postępowej idei, od tej klasowej i rewolucyjnej koncepcji teatru do jej całkowitej realizacji wiedzie niejedna droga i nie wiadomo jeszcze, która jest nakrótsza i najdogodniejsza, którą z nich współczesny teatr polski wybierze. Jako dyrektor Ateneum, Jaracz szukał tej drogi gorliwie, choć po omacku; nieraz błądził, nieraz zawracał, ale nie odpoczywał i nie oddawał się rezygnacji. Co udało mu się osiągnąć? Jaki był bilans prawie dziesięcioletniej działalności Teatru Ateneum? Założony z własnych oszczędności Jaracza teatr ten uzyskał oparcie w jednym z najliczniejszych i najpotężniejszych podówczas robotniczych związków zawodowych; repertuar jego miał służyć rozwojowi świadomości klasowej i postulatom walki klasowej proletariatu. Jeśli nawet te przyjęte na siebie zadania spełniał tylko w niewielkim stopniu, to w każdym razie trzeba stwierdzić, że nie rządziły nim żadne „względy kasowe“, żadne wyszukane „formalizmy“ artystyczne, mimo że uginał się pod brzemieniem trudności politycznych, finansowych, technicznych, a także pod naporem wewnętrznych rozterek i zakulisowych konfliktów.

W państwie budującym socjalizm wielostronna działalność Jaracza na pewno doczeka się pomnikowej monografii, wyczerpującej i źródłowej. Znajdzie się na pewno zespół uzdolnionych i pełnych zapału teatrologów, którzy z pracowitością i wytrwałością średniowiecznych kronikarzy wyliczą i szczegółowo rozpatrzą wszystkie wcielenia sceniczne Wielkiego Zmarłego, nie pomijając najdrobniejszej nawet rólki epizodycznej. Każdego sumiennego historiografa i teoretyka sztuki aktorskiej bez wątpienia zastanowią i olśnią luźne, tu i ówdzie rozrzucone sformułowania Jaracza, wiążące się z tym zagadnieniem. Ale przede wszystkim miejmy nadzieję, że głębsze i na szerszą skalę zakrojone dociekania krytyczne ustalą, czy te zadania, jakimi Jaracz teatr współczesny obarczał, obejmują w całości społeczną funkcję teatru. Ze swej strony pragnąłem tylko omówić pokrótce półtoraroczny odcinek dziejów Teatru Ateneum, mianowicie okres od października 1937 r. do kwietnia 1939. Wybieram ten właśnie okres dlatego, że pełniłem wtedy obowiązki recenzenta i cały warsztat Jaracza pilnie i z bliska oglądałem. Zatrzymując się nad każdą z osobna pozycją repertuaru i zwięźle ją charakteryzując, charakteryzować będę zarazem najistotniejsze tendencje Jaracza, który i w samym doborze sztuk i w ich ujęciu scenicznym odtwarzał przecież szkicowy obraz teatru swojej tęsknoty.

W październiku 1937 r. wystawiony został w Ateneum „Ożenek“ Gogola. Tych, którzy z całej twórczości Gogola znają tylko „Ożenek“ i „Rewizora“, uderzyć musi głęboka odrębność tych dwu komedii. O ile humor Gogola w „Ożenku“ ma w sobie coś z optymistycznej dobrotliwości, z dickensowskiej niemal miłości do ludzi, o tyle w „Rewizorze“ jest demoniczny w swym zacięciu satyrycznym, w swej groteskowości budzącej aż grozę. „Rewizor“ stanowi galerię karykatur bolesnych, chwilami przerażających w swym makabrycznym, choć niby tylko filuternym zdeformowaniu, jak niektóre rysunki Daumiera czy Goyi; natomiast „Ożenek“ pulsuje zabawową rytmiką buffa, śmiech autora rozbryzguje się tu w powietrzu pełnym mgły rozmarzenia, komizm sytuacji upodobnia się tu do nieprawdopodobieństw spotykanych w bajkach, mimo że mieści się całkowicie w ramach pieczołowicie zebranych obserwacji i typowości realistycznej. Może właśnie ta realistyczna detaliczność wizji Gogola stanowi zagadkę dziwnego wrażenia, jakie „Ożenek“ wywiera: tak samo kropla krwi, pełna śmiercionośnych mikrobów — oglądana pod mikroskopem — bawi nas rzadkością kształtów po raz pierwszy widzianych, fantastyką osobliwego pejzażu, zamiast przerażać refleksjami o infekcji, epidemii i masowych zgonach.

Matrymonialne kłopoty Iwana Kuźmicza, jego formalizm i niezdecydowanie są może karykaturą zbiurokratyzowanej duszy w biurokratycznym departamencie: anonimowe miasteczko, w którym żyją konkurenci Agafii Tichonowny, jest może metaforycznym obrazem całej Rosji carskiej w jej najgłębszych złożach psychiki narodowej; może tkwi w „Ożenku“ ostrze gwałtownej, lecz ukrytej krytyki. Na pierwszy plan wysunąć należy jednak zjawisko wysokiej temperatury uczuciowej, w jakiej się tu wszystko odbywa. „Ożenek“ jest rapsodem o anachronicznym drobnoustroju socjalnym, jakim jest to miasteczko na głębokiej prowincji, jakaś „Chandra Uryńska, gdzieś w mordobijskim powiecie“. „Ożenek“ pisał nie tylko satyryk, lecz przede wszystkim poeta, rasowy epik i liryk w jednej osobie.

Bezinteresowną poezją tchnęło wzorowe przedstawienie w Ateneum. Stanisława Petrzanowska była już wówczas reżyserką tak wprawną i wtajemniczoną w arkana życia scenicznego, że zaczęła ulegać — na razie nieśmiało — pokusom wirtuozerii; czyniła to jednak bez przejaskrawień i chybionej brawury. Akcję sceniczną wyinkrustowano znanymi melodiami rosyjskimi; dla mnie — pod tym względem byłem, jak się zdaje, odosobniony — te melodie były z przedstawieniu składnikiem najbardziej rosyjskim. Wnętrza Daszewskiego pełne ekspresji i smaku, wyrafinowane i oszczędne. Kostiumy bajecznie kolorowe: cech epoki i kraju było w nich akurat tyle ile potrzeba.

Jaracz był aktorem natchnionym i najlepiej potrafi odtwarzać takich właśnie prostaczków naiwnych, dla których stoi otworem Królestwo Niebieskie — a po trosze takim prostaczkiem jest właśnie Podkolesin. Bonacka grała Agafię Tichonownę bardzo wdzięcznie; w jej grze jednak za dużo było drobnych rysów charakterystycznych, a za mało polotu i świeżej poetyczności. Perzanowska grała zawodową swatkę, kojarząc wyśmienicie babskie mazgajstwo Fiekły Iwanowny z energią i żywiołowością. Łuszczewski grał swata z amatorstwa zbyt nerwowo i nierówno; wydawało się, jak gdyby brakło mu dokładnie i w całości obmyślanego planu roli. Chmielewski, Daniłowicz i Kalinowicz byli doskonałą trójką zalotników, starannie jako typy zróżnicowanych. Pośpiełowski „robił“ Stiepana znakomicie, niepotrzebnie tylko w głupawym uśmiechu i mruganiu oczami naśladował znanego z wielu filmów Filipa; publiczność śmiała się z niego bardzo szczerze. Reszta obsady — Gruszecka, Kempa i Jaraczówna — również przyczyniała się do sukcesu „Ożenku“ jak mogła. Przekład Tuwima okazał się — jak określił Boy — zbyt „wiechowaty“: Roma locuta, causa finita...

Po „Ożenku“ na afisz weszła „Panna Maliczewska“ (listopad 1937). W teatrach warszawskich figurowały wtedy jednocześnie dwie sztuki Zapolskiej: „Panna Maliczewska“ i „Skiz“, — była zatem doskonała sposobność do ich porównania. „Panna Maliczewska“, utwór o rok późniejszy, nie posiada może tej biegłości konwersacyjnej, tego zdradliwego uroku wojny aforyzmów, jaką zachwycał publiczność „Skiz“ — ale jest prostszy i jaskrawszy w swym brutalnym widzeniu życia, dojrzalszy w rosnącej z każdą sceną wymowie dramatycznej. Daje przy tym pewien kontrast — zresztą jakby jedynie na tle — dwóch zbiorowości, dwóch sił społecznych: proletariatu i mieszczaństwa. Pesymizm Zapolskiej jeszcze się tu pogłębił, pomnożył o akcenty przejmu-

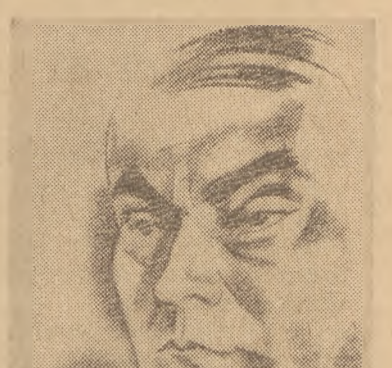
JARACZA

jące i ostre. Wieje z tej sztuki ultrarealistycznej i gorzkiej pasja i beznajdziejność: podejrzewamy wszyscy, że i z Kuleszy i z jego kolegi Gustawa wyrosną kiedyś karierowicze i feudałowie erotyczni podobni do Dauma, a dola panien Maliczewskich — jeżeli się nawet zmieni — to niekoniecznie na lepsze. Żaden związek zawodowy chórzystek operowych nie uwolni ich od opieki mecenasów — „mecenasów" i od tragicznej żądzy awansu socjalnego bodajby kosztem wyrzeczenia się prawa do prawdziwej miłości. Zapolska była o tym święcie przekonana; na szczęście, myliła się.

Teatr Ateneum grał już poprzednio „Pannę Maliczewską" przed kilku laty z Mirą Zimińską w roli tytułowej; obecnie rolę tę grała Andrzejewska przesunąwszy ją o klasę wzwyż. Zimińska zatomizowała swą kreację, pozbawiła ją cech organiczności; Andrzejewska sięgnęła do wewnętrznej prawdy postaci, odtworzyła jej rozwój witalny i narastającą dojrzałość w coraz boleśniejszym rozeznaniu losu. Ta rola stanowi chyba po dziś dzień szczyt osiągnięć tej aktorki. Na równym z nią poziomie utrzymali się tylko: Chmielewski (Daum) i Perzanowska (Michasiowa). Zwłaszcza Perzanowska, która jako reżyserka starannie przygotowała wznowienie sztuki, świetnie wygrała swą rolę środkami dyskretnymi, z precyzją i sugestywnym skupieniem. Doskonała była Gruszecka jako Żelazna dewotka i stręczycielka w jednej osobie. Na zakończenie śmieszne „wspomnieńko": według brzmienia tekstu I aktu Kulesza „wkuwa" Demostenesa; tymczasem ze sceny słyszeliśmy nawyraźniej początkowe heksametry „Metamorfoz" Owidiusza... To dostrzegalne uchybienie realistycznym założeniom interpretacji było bardzo zabawne.

Ateneum wystawiło sztukę francuską: „Szóste piętro" Alfreda Gehri. Ta dosyć monotonna paryska komedyjka usiłowała odtworzyć możliwie autentycznie koloryt określonego środowiska — dać tzw. „przekrój społeczny" szóstego piętra wielkiej czynszowej kamienicy w wielkiej metropolii. Na jej realistyczną opisowość można by było z łatwością przystać — poprzedzające ją lata nauczyły nas, że z elementu epickiego mogą powstawać dobre utwory sceniczne, ciekawe i żywe; lecz autor niepotrzebnie przeplótł nurt opisowy swej sztuki zrywami ku plastyce dramatycznej, które wypadły nieprzekonywająco i szablonowo. Mało zróżniczkowane, jak gdyby tylko mechanicznie powielone egzemplarze „szarego człowieka" i jego codziennych doznań mogły zainteresować właśnie swoją szarością i małością; do dramatu natomiast trzeba przecież starcia innych monolitów, innych osobowości i konfliktów.

Przedstawienie sztuki Gehri miało wysoki poziom artystyczny — doprawdy, zupełnie niewspółmierny z wartością samej komedii. Fakt ten przypisać należy przede wszystkim doskonałej reżyserii Perzanowskiej, następnie zaś aktorom (prym wśród nich dzierżyli reprezentanci dwóch pokoleń rodziny Jaraczów oraz Zahorska, Daniłowicz, Bonacka i Pośpiełowski), wreszcie — dekoracji Daszewskiego, stanowiącej wprost nieomylne rozwiązanie tych postulatów, jakie „Szóste piętro" przestrzeni scenicznej narzucało. Nawet rzekome kicze jednego z bohaterów tej sztuki, Maksa Lescalier — przez cechujący Daszewskiego smak kolorystyczny — stały się właściwie pełnymi kultury żartami malarskimi



rys. E. Głowacki

Po tym błahym wytworze francuskim Ateneum, poszukało wsparcia u innej, renomowanej firmy francuskiej: wystawiło „Świętoszka" (październik 1938). Koncepcja sceniczna „Świętoszka", przyjęta w Ateneum, nie zawdzięczała swego powstania jednolitej męskiej decyzji. Ani Perzanowska jako reżyserka ani Daszewski jako scenograf nie ustrzegli się w swych osiągnięciach znamion połowiczności. Dekoracja Daszewskiego była zbyt harmonijna i gustowna, jak na budę jarmarcznego teatrzyku, a zarazem posiadała zbyt aluzyjną i schematyczną konstrukcję, jak na wnętrze zamożnego domu burżuazji czy półszlachty francuskiej XVII wieku (w przeciwieństwie do oprawy scenicznej „Świętoszka", zastosowanej obecnie przez Daszewskiego w Teatrze Narodowym); w oczach widza ocalał ją dyskretny dowcip i pełna smaku barwność. Perzanowska oparła się w budowaniu pojedyńczych sytuacji na wybujałych schematach farsy, zresztą żywych i pomysłowych.

Środki wyrazu, którymi rozporządzał Jaracz, były tak bogate, że pogłębiał on mimo woli wszystkie odtwarzane przez siebie role, zamiast marionetek i trocin ukazując nieraz anatomię duszy; tak stało się również z Tartufem. Tartufe Jaracza był tak prawdziwie i wzruszająco ludzki, że chwilami przestawać być śmieszny, budził podświadomie współczucie i sympatię. W scenie z Elwirą po mistrzowsku wypadł w interpretacji Jaracza zmysłowy, nieopanowany poryw krewkiego chama, nazbyt długo, z konieczności tłumiony. Jaracz zbyt dobrze udawał jego rzekome cnoty; było to zresztą wcale niepotrzebne: wystarcza rzecież, że wierzy w te cnoty głupi Orgon i tępa starucha, pani Prunelle.

W opozycji do roli Jaracza stał Orgon Chmielewskiego — zamaszysty, rozkrzyczany, błaznowaty; szkoda było przy tym, że po mecenasie Daumie z „Panny Maliczewskiej" odziedziczył przeciągły kresowy akcent. Perzanowska (pani Prunelle) za mało miała w sobie jędzowatości i ograniczenia zgryźliwej matki Orgona, tyranizującej cały dom, a w Tartufe'a wpatrzonej z pokorą i podziwem jak w obrazek. W Dorynie Jaraczówny nie czuliśmy tego humoru i na przemiany chłodnego rozsądku, dowcipu i serdeczności, jakie cechują subretki Moliera. Bonacka pięknie poruszała się w misternych sukniach, ale w akcji komediowej była dość papierowa i bez barwna. Niedole Marianny-Nobisówny —do złudzenia przypominały smętne losy tej dziewczyny z „Szóstego piętra", którą Nobisówna niedawno grała. Pośpiełowski zbyt „uwspółcześnił" Walerego, uczynił z niego tuzinkowego amanta, bez stylowego wdzięku i aparycji. W epizodach ukazali się: Kalinowicz, Łuszczewski, Daniłowicz i Lemański. Jednym przejściem przez scenę na brawa zasłużył Wawrzyniec (Żelski), jak również nie wymieniona w programie aktorka w małej rólce małej Flipoty.

Przedwojenne przedstawienie „Świętoszka" w Ateneum łączy się niektórymi punktami obsady, oraz osobami Daszewskiego i Perzanowskiej z obecnym przedstawieniem w Teatrze Narodowym; bliższe zestawienie obu tych spektakli daje wyniki bardzo pouczające.

Na ostatek chciałbym jeszcze wspomnieć o dwóch przedstawieniach z tego okresu: o „Dziewczynie z lasu" Szaniawskiego (luty 1939) i o „Cyruliku Sewilskim" (kwiecień 1939). „Dziewczyna z lasu", ostatnia przedwojenna sztuka autora „Lekkoducha", powstała z tej samej substancji poetyckiej, co i pozostałe jego sztuki. Dramat lęgnie się tu z urojeń przywidzeń, domysłów i wrażeń; bohaterowie są niby żywymi ludźmi, ale jak gdyby wyobcowanymi z geografii i historii; budulec dialogów stanowią same sugestie, niedomówienia, wieloznaczniki. Szaniawski jest nieodrodnym synem Maeterlincka, toteż jego metoda symbolizacji upatruje w świecie realnym jedynie daleki system odniesienia. Spadkobierca Maeterlincka jest także Czechow, a przecież poprzez gąszcz symbolów, nastrojowe mgły i zasieki napomknięć i westchnień dociera on wraz ze swoimi bohaterami na pozycje swoistego determinizmu filozoficznego, sprowadzając ich na twardy grunt zagadnień społecznych i dziejowych, gdzie starcza miejsca nawet na krytykę i negację.

Szaniawski torował u Jaracza drogę Czechowowi: tylko tak mogę zrozumieć fakt wystawienia „Dziewczyny z lasu" w Ateneum — co bynajmniej nie znaczy, że twórczość Szaniawskiego lekceważę. Ów las dziedzica Wielorzeckiego — to nie zwykły las „pański", ale jakieś guślarskie uroczysko; ów dwór, którego wnętrze widzimy na scenie — to raczej „rozśpiewana chata" bronowicka, osaczona przez widma i pałuby... Tę niesamowitość atmosfery, tę arealność materii dramatycznej Szaniawskiego Ateneum odtworzyło środkami realistycznymi; Jaracz w swej roli-epizodzie był jak zwykle triumfatorem. Powściągliwy i raczej gderliwy Irzykowski napisał: „Jaracz jako stary gajowy mało pachniał lasem, był naturalny, doskonale wygłaszał aluzje o tropieniu niezwykłej zwierzyny" — co pod jego piórem było nie lada pochwałą.

Po „Dziewczynie z lasu" Teatr Ateneum wystawił „Cyrulika Sewilskiego" — właśnie „Cyrulika" a nie „Wesele Figara", tak jak poprzednio wystawił „Ożenek" a nie „Rewizora". Teatr ten unikał zawsze linii najmniejszego oporu, nie starał się zadomowić w pieleszach żadnych tradycji, nie szukał ciepełka utartych opinii i wzorów; dlatego to mniej popularne utwory mistrzów przekładał nad renomowane arcydzieła. Udany spektakl „Cyrulika" w Ateneum znowu znalazł ostoję w grze Jaracza (Bartolo). Maszyński był Figarem zbyt dobrodusznym i bezinteresownym. Chmielewski przez swą antytradycyjną charakteryzację i strój pozbawił osobę Basilia tego kredytu, jakim ją darzy zawsze publiczność operowa; wykład o skuteczności oszczerstwa mimo woli słyszało się „uszami duszy" jako słynną arię Rossiniego. Godne wysokich pochwał były epizody Daniłowicza, Żelskiego i Kalinowicza. Parę kochanków odtwarzali Nobisówna i Rakowiecki; poza urodą i wdziękiem para ta niewiele wniosła na scenę. Dekoracje Daszewskiego tym razem były monotonne i nie wiadomo dlaczego utrzymane z pedantyczną konsekwencją w kolorze mlecznej kawy; za to niektóre kostiumy projektu Daszewskiego były przykładem smaku i stylowej dystynkcji.

W sześciu sztukach spośród omówionych powyżej obsada obejmowała także nazwisko Jaracza, bo było ono atrakcją, magnesem przyciągającym publiczność. O ile w danej sztuce Jaracz nie grał, zastępowała go na afiszu inna zaproszona „gwiazda" — jak np. Andrzejewska (która od „Dziewcząt w mundurkach" była przez parę lat modna i rozchwytywana przez teatry) albo Maszyński. Te drobniutkie, naiwne ustępstwa na rzecz „kasowości" nie przynoszą imieniu Jaracza żadnej ujmy: Teatr Ateneum pracował w warunkach, które zmaganiom i tęsknotom jego dyrektora najoczywiściej nie sprzyjały.

Roman Kołoniecki

Angielska liryka religijna wiek XIV

autorzy nieznani, przełożył Witold Ostrowski

Niżej podane wiersze pochodzą ze zbioru „Religious Lyrics of the XIV Century", wydanego w 1924 przez Carletona Browna. Są ułomkiem bogatej liryki liczącej ponad 130 pozycji. Wiele z nich — to angielskie tłumaczenia hymnów łacińskich. Inne odznaczają się oryginalnością. Angielska liryka religijna już w XIV wieku miała za sobą tradycję siedmiu stuleci. Zaczęli ją Caedmon, poeta-pasterz i Cynewulf. W w. XIII godnie podtrzymywał ją prymas Langton znanym w całym Chrześcijaństwie hymnem „Veni Sancte Spiritus". — Ulubione tematy liryków angielskich XIV w. — to Chrystus, Jego Matka i Boże Narodzenie. Ale o ile wiersze maryjne i kolędy przypominają polską twórczość tego rodzaju, niektóre z chrysticentrycznych wprowadzają Polaka w odmienny, choć katolicki, ogród poezji.

Jak Chrystus przyjdzie

I

Ujrzałem Go z Ciałem rozpostartym całym —
przychodził ze Wschodu.
Ujrzałem Go we Krwi, był zbroczony cały —
przychodził z Zachodu.
Ujrzałem jak wielu wiódł ze sobą w chwale —
przychodził z Południa.
Ujrzałem, że świat Go nie żałował wcale —
przychodził z Północy.

II

Przychodzę od ślubu, jak słodki Oblubieniec,
Który żonę pojął.
Przychodzę od walki, jako Rycerz nieugięty,
Który wroga pobił.
Przychodzę od targu, jako Kupiec przebogaty,
Który ludzkość sam wykupił.
Przychodzę z nieznanej ziemi — Pielgrzym błogosławiony,
Który poszukiwał długo.

Chrystusowa pieśń miłości do człowieka

Miłość Mnie sprowadziła
i miłość Mnie skłoniła
bych był ci towarzyszem, człowiecze!
Miłość Mnie karmiła
i miłość przewodziła,
miłość cię dała tutaj Mej pieczy!

Miłość Mnie sprowadziła
i miłość Mnie zabiła,
miłość na mary kładła Mnie srogo!
Miłość Mym pokojem,
bom wybrał miłość Moją,
aby człowieka kupić tak drogo!

Niech cię nic nie zatrwoży —
wszak za dnia i w nocnej porze
ciebie szukałem bardzo i pilnie!
Dobrze z tobą być Mi
i dobrze ciebie mieć Mi —
w walce zdobyłem cię silnej!

„Dwie brygady"

Film produkcji polskiej

„Dwie Brygady" są filmem zrealizowanym w ciągu 5 miesięcy, pod kierownictwem reżysera Cękalskiego przez kolektyw artystyczny. Do zespołu realizatorskiego włączono 12 młodych reżyserów i operatorów, słuchaczy Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej.

Wydaje się, że metoda pracy kolektywnej zastosowana w tym filmie okazała się skuteczna i słuszna. Wydaje się także, że „Dwie Brygady" wskazały metodę niewątpliwie jedną z wielu możliwych, ale udaną filmowej transpozycji tekstu literackiego przeznaczonego dla teatru. Scenarzyści problematykę tekstu teatralnego potraktowali jako zasadniczy motyw scenariusza, jednocześnie stwarzając z tego tekstu element skupiający jakby i interpretujący problematykę pokazywanego konkretnego świata. Podwójność fikcji artystycznej wyzyskano bardzo zręcznie wiążąc integralnie sztukę teatralną Kani „Brygada Szlifierza Karhana" z wątkiem polskiego teatru i polskiej fabryki, w ten sposób że te trzy wątki wzajemnie się interpretują.

Scenariusz ma wielkie zalety. Oryginalność i trafność kon...cji, jasną



Karczewski w roli Fikejsa

i słuszną wymowę ideologiczną, zwartą wyjątkowo zwięzłą i konsekwentną kompozycję przy szeroko rozbudowanym zakresie tematu, precyzyjną ekspozycję poszczególnych wątków. Ma wady zrozumiałe w pracy w całym tego słowa znaczeniu pionierskiej. Wady które możnaby określić jako pewną manierę schematyzowania środowiska. Jest jasne, że samo słuszne i wymowne ustawienie współczesnej aktualnej i realistycznie ujętej problematyki już jaknajlepiej legitymuje scenarzystów. Niemniej w poszukiwaniu właściwej dokumentacji, sposobu wyrażenia zagadnień, których podmiotem są ludzie zaangażowani w akcję, daje się zauważyć tendencja do zwracania większej uwagi na problem aniżeli na człowieka.

Najlepiej, najwyraźniej jest postawiona w scenariuszu postać Borowicza. Przemiana Borowicza następuje na skutek jego aktorskiej ambicji, by nowej robotniczej publiczności dać przemawiającą kreację aktorską. Kierowany ta ambicją ulega stopniowo z jednej strony wymowie tekstu literackiego wciągającego go w atmosferę nowego życia, z drugiej atmosferze tego nowego życia z którym się spotyka w pracy nad rolą.

Jego konflikty, przemiana, zachowanie się są doskonale umotywowane psychologicznie i pogłębione.

Drugą sylwetką rozpracowaną psychologicznie jest Walczak. Tu jednak już potraktowano jego problem bardziej zewnętrznie i schematycznie, określając go więcej przez słowa i gesty, ale nie fakty wyrażające przeżycia.

Resztę ludzi zaangażowanych w akcję potraktowano antypsychologicznie pokazano sylwetki nie rozpracowane i określone raczej sloganowo.

Sadzę, że oglądane niedawno niemieckie filmy pokazały jedną z możliwych dróg (polski film w stosunku do polskiego robotnika znajdzie swoją drogę) ujęcia w scenariuszu pracy i problematyki środowiska proletariackiego tak, aby nie gubić w tym czującego i żywego człowieka.

Chodzi przecież nie tylko o ujęcie i wyjaśnienie zagadnienia, ale o zbliżenie do przeżyć i uczuć tworzących te zagadnienia ludzi.



Opaliński jako Karhan

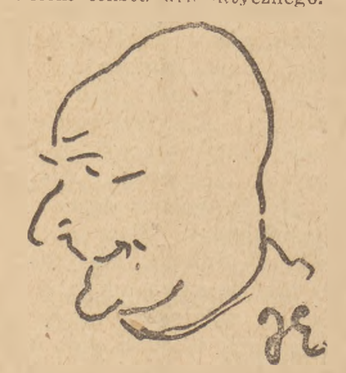
Nie wyzyskano zupełnie możliwości opracowania paralelnej do Borowicza - Karhana postaci starego robotnika, który wprowadza Borowicza w pracę fabryczną. Ów robotnik został potraktowany marginesowo, a można go było podkreślić, wybić jego postać tak, by jego sprawy były równie wymowne i konkretne psychologicznie, jak problematyka Borowicza.

Młodzi przodownicy pracy wypadli — i tu znowu pretensja o schemat — najbardziej sloganowo. Wiemy o nich, że doskonale pracują i z okrucieństwem właściwym młodości wykpiwają Walczaka. Na pytanie kim są możemy odpowiedzieć tylko to, że są przodownikami pracy, ale właściwie nie znamy ich zupełnie.

Do dużych zalet filmu należy świeżość i śmiałość pokazania pracy. Najlepszym dowodem trafności ujęcia zagadnienia są głosy robotników w dyskusjach organizowanych na pokazach filmu. Robotnicy domagają się, by film pokazywać w ich zakładach pracy, stwierdzają bowiem, że ułatwi wychowanie i zdynamizowanie ludzi, ułatwi zrozumienie pracy i obowiązku.

Głosy robotników pokazują także, że wszystkie trzy wątki są przez publiczność traktowane dosłownie i że sprawy Karhana, Walczaka czy Borwicza wyrażają dla widzów zupełnie bezpośrednio konkretne i prawdziwe zagadnienia.

Sprawą drobna ale znamienną jest nieporozumienie z chwytem scharakteryzowania Borowicza przez cytaty z Cyda. Chwyt wymagający erudycji literackiej traci wartość wówczas, gdy widzowi cytowany urywek nic nie mówi. Wydaje się, że poza koniecznością wyjaśnienia w programie sam film mógł te same słowa jakoś plastycznie wyjaśnić, inscenizować je jakoś tak, by było jasne, że pochodzą z tekstu teatralnego, by było jasne dla widza, że cytowane przez Borowicza słowa nie są jego własnym wierszem, jak to część publiczności interpretuje, ale fragmenmentem tekstu dramatycznego.



Opaliński jako stary aktor

Filmy w rodzaju „Dwóch Brygad", rodzaju który możnaby nazwać artystyczną, aktualną publicystyką filmową, są — dobitnie wykazują to dyskusje — potrzebne i mają zapewnionych odbiorców. Realizatorzy „Dwóch Brygad" wskazali metodę i sprecyzowali rodzaj, styl, pokazali także, że szybkie tempo pracy nie musi być równoznaczne z gorszymi rezultatami.

Leszcz

Listy do Redakcji

O BRONISŁAWIE GRABOWSKIM

Chcąc choć w drobnej części zadośćuczynić p. J. Nowak-Dłużewskiemu, który w n. 26 „Dziś i Jutro" był łaskaw zaproponować mi napisanie wspomnienia o prof. Br. Grabowskim w związku z moją wzmianką o Nim w nr. 25 „Dziś i Jutro", muszę zaznaczyć, że minęło już półwiecze od śmierci Br. Grabowskiego, a nie bez znaczenia jest ta okoliczność, że wtedy byłem młodym chłopcem i w rok po śmierci B. Grabowskiego wyjechałem z Pińczowa, z tych niegdyś polskich Aten, nie mając już żadnego kontaktu z tamtejszymi ludźmi. Ta garść wspomnień, które napiszę, może być tylko drobną częścią sylwetki tego doprawdy dużej miary człowieka.

Br. Grabowski przybył do Pińczowa w r. 1898 z Częstochowy, jak słusznie zaznaczył p. Dłużewski, — jako deportowany. Widocznie Częstochową Grabowski się bardzo interesował i ma sporo zasług wobec pod jasnogórskiego grodu, gdzie ogłosił pracę pt. „Pięćsetletnie dzieje Kościoła i Klasztoru na Jasnej Górze", dał opis „Widoków Częstochowy" — W. Dmochowskiego, a następnie wydawał „Kalendarz Częstochowski".

W r. 1900 zawiązało się bardzo nieliczne kółko młodzieży szkolnej pod przewodnictwem Kopczyńskiego, urzędnika rosyjskiej akcyzy, która głównie rozczytywała się w nielegalnym piśmie prowadzonym w wielkiej tajemnicy, tak zresztą jak i cała organizacja, która była również b. zakonspirowana, zwłaszcza, że było to miasteczko, w którym wszyscy się znali i o sobie wiedzieli. Młodzież dobrze wiedziała, kim jest Grabowski, toteż i on wiedział o istnieniu tej organizacji. Ponieważ był to człowiek śledzony na każdym kroku, więc kontakt młodzieży z nim w sprawach de publicis polegał na dość oryginalnym sposobie. Mianowicie po lekcjach Grabowski odprowadzany był przez tę nieliczną młodzież do domu pod pretekstem odnoszenia mu zeszytów uczniowskich. Na tej drodze pokonywanej drobnymi kroczkami profesora, toczyły się rozmowy nie na temat greki, czy łaciny, ale w bardzo krótkich zdaniach, w przerzucaniu się z tematu na temat, była wymiana myśli, a raczej chwytanie w lot jego wypowiedzi na tematy polityczne. Przechodzień nigdy by nie przypuszczał, że ta jakby rozbawiona i rozkrzyczana chwilami młodzież prowadziła tak poważny dyskurs.

O odwiedzaniu go w domu nie mogło być mowy. Byłem w Pińczowie zaledwie 3 lata i w roku jego śmierci wyjechałem z tej uroczej miejscowości. Nie miałem potem już żadnego kontaktu z tym miastem. Zdaje się, że był wtedy wdowcem i miał chyba jednego syna, który studiował, czy też pracował w Szwajcarii jako inżynier. Grabowski był niewielkiego wzrostu, dość tęgi, a piękną jego głowę i zaróżowione policzki okalała srebrna siwizna. Najbardziej zaś zdobiły go mądre, dobre, niebieskie oczy. W czasie lekcji bezustannie coś notował, a w parku miejskim można go było stale spotkać zagłębionego w książkach. Dziwny urok musiała wywierać ta postać na rozbrykaną młodzież (od 9 do 14 lat): nie wywierał na nią żadnej presji, a jednak na lekcjach jego była zawsze niczym niezmącona cisza.

W roku 1930 w maju odbył się w Pińczowie zjazd wychowanków tej szkoły z racji 30-to i 25-lecia strajku szkolnego. Wtedy to gremialnie odwiedziliśmy Jego mogiłę, a kilku wychowanków tej szkoły — księży odprawiło Mszę św. za spokój Jego duszy. W obecnych czasach nie mam znajomych w Pińczowie i nie wiem w jakim stanie znajduje się grób B. Grabowskiego.

A. Włosiński
Częstochowa

Kazimierz PIEKUT

Na barykadach jesieni

W gorących pocałunkach lata dojrzała uroda jarzębiny.
We wrześniu szczycą się sady
barwą
płomienną jak śmiech wiejskiej dziewczyny,
która wie, że jej kochanek nigdy nie zdradzi.

Jesień rozwiesza czerwone i żółte flagi
na barykadach płotów
ugiętych pod ciężarem dyń i winogradów,
a w powietrzu miękkim jak wosk
rysuje mapy
długodystansowych lotów
ptasich.

Łowiąc skrzętnie odgłos pierwszych spadających liści,
zapatrzony w skomplikowane ruchy
jaskółczych odlotów
genialny sztabowiec
odgaduje plan wielkiego natarcia zimy —
prosty człowiek.

Poranek na Starym Mieście

Pani Ludwice Ostrowskiej

Dzienna zmiana spędza noc w zarośnięte zielskiem zaułki,
przez badyle przedziera się
ognisty pościg.
„Pod Murzynkiem" nad sągiem cegieł
przeciąga się — jak kot zbudzony
staromiejski urwis,
dzisiaj koźlarz-przodownik
zakochany we własnym życiu
i swojego miasta przyszłości.

Święta Anna, ta Samotrzecia
z narożnika kamienicy książąt,
uprzejmie wita staruszki,
co na Prymarię do Franciszkanów dążąc,
gubią okruchy porannego pacierza
a w południe przynoszą na budowę
obiad swoim wnukom.

Rusztowania, jak chochoły, oplatają kipiące wapnem mury.
Rytm mięśni piłuje ciszę, dzwoniąc.
To kamienice dojrzewają
w charkocie gryzarek,
w zgrzycie wind,
w chrzęście kielni
ujętych wprawną dłonią —
kamienice pną się w górę
gorącym uśmiechem cegły . . .
Stare Miasto znów żyć zacznie
historią swoich kamienic
i swoją ciszą,
gdy kielnie i gryzarki zgłuchną,
Stare Miasto żyć będzie
spokojnie
i bezpiecznie —
bo oto
z martwych powstała Fara,
stanąwszy twardo
na niewypałach,
które
na pewno nigdy nie wybuchną.

Południe w miasteczku na Warmii

Dwunasta kołysaniem dzwonu, jak rzeszotem
rozsiewa nad miastem odpoczynek i spokój.
Z wieży zeskoczył lekko na ziemię Anioł Pański.
Na schodach pod wielkimi drzwiami odpoczywa,
owijając liśćmi łopianu piekące dłonie,
ksiądz, który własnoręcznie remontuje kościół.

Za parkanem
południe pieści płaskie twarze słoneczników,
maki pośród bieli rumianków krwawią jak stygmaty.
Blaszany kurek na ratuszu raz i drugi zaskrzypiał
nieśmiało. I ucichł. Bo nie ma wiatru.

Dzieci powracają ze szkoły wcześnie,
głośnym śmiechem modlą się o zdrowie
pani chorej.
A przed figurą jakiś turysta w drelichowych
zastanawia się,
co to za Święta w koronie cierniowej?
Ksiądz nie wie.
Ja też nie wiem.
Szkoda.

Mewy roznoszą w szponach chłodny zapach jeziora.

Redaktor Naczelny: Bolesław Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmajer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Kolendo, Mieczysław Kurzyna, Konstanty Łubieński, Andrzej Misewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.
Wydawca: Kolegium Redakcyjne. Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalnie 180 złotych
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43 I p. Konto PKO — Nr I-727
Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz wtorków i czwartków godz. 12 — 13.
Druk. Skolimowska 5. B-119299